Nr 39 (1601). Warszawa, 30 września 1911 r. Rok XXXI

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.

**Szanownym abonentom przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał IV.**

## POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Fałszywa glorja.

Zawarło się wieko nad świeżą trumną premjera, lecz tym szerzej rozwarły się upusty, z których płynie nieskończony potok pień chwalebnych i żalów panegirycznych. Postać Stołypina maluje się przed światem w tak jaskrawej i świetnej glorji, jaką żaden rosyjski mąż stanu nigdy nie bywał opromieniony.

Gdyby zawierzyć sążnistym nekrologom prasy rosyjskiej i obcej, możnaby przypuścić, że oto schodzi ze świata conajmniej Bismark rosyjski, twórca nowej ery dobrobytu i rozwoju, świetności i potęgi ..

Oczywiście, o źródłach takiego nastroju w prasie zagranicznej lepiej nie mówić, natomiast warto zastanowić się chwilę nad przyczynami wielkiej popularności zmarłego premjera w pewnych kołach opinji rosyjskiej.

Świeżym hasłem nacjonalizmu państwowego Stołypin potrafił skupić i przykuć do swego rydwanu mnogie tysiące kresowych działaczy, na których sypnął rzęsistym gradem odznaczeń, awansów, subsydjów i przywilejów. Słusznie ktoś zauważył, że w tym okresie czasu duchem przodującym w państwie nie było centrum wielkorosyjskie, lecz właśnie marchja zachodnia, litewsko-ruska, skąd premjer sam pochodził i gdzie liczna sfora działaczy różnego kalibru ćwiczy się oddawna w niebezinteresownym kulcie rosyjskiej „idei" państwowej, osiągając w ostatnich latach niezaprzeczoną w tej sztuce perfekcję. Nic też dziwnego, że tragiczna śmierć Stołypina wielkie sprawiła wrażenie w tych kołach, gdzie zmarły uchodził słusznie za patrona i rozdawcę szczodrych łask i wpływów lukratywnych. Żal pp. nacjonalistów, zwłaszcza na Litwie i Rusi, jest bezwarunkowo szczery i zupełnie zrozumiały.

Lecz objektywny pogląd na działalność p. Stołypina w innym stawia go świetle.

A więc, w polityce zewnętrznej, doznała Rosja klęski dyplomatycznej w zatargu bałkańskim o Bośnię i Hercegowinę, a świeżą notę rosyjską w sprawie albańskiej Turcja odprawiła z kwitkiem, czego też nie można nazwać wielkim powodzeniem. Z dalekiego Wschodu ciążą chmury ciągłego niepokoju na całej rozległej granicy chińskiej, a w Persji dyskretna akcja na korzyść byłego szacha skończyła się fiaskiem. Nie dość na tym: sprzęgnięta z Anglją węzłami trój porozumienia, zawiera Rosja na stronie pakty poczdamskie z Niemcami, które w dwuznacznym stawiają ją świetle, a na domiar szkodzą jej własnym interesom w Azji środkowej.

Szereg tych niezaprzeczonych porażek zewnętrznych zachwiał dotkliwie *prestige* dyplomacji rosyjskiej, czego okupić nie mogą smutne tryumfy nad „wewnętrznymi wrogami" państwa w związku z rygorem policyjnym, który utrwala na długo stan ciągłej wojny domowej, stan, pełen „teatralnych efektów" w rodzaju kijowskiej niespodzianki.

Dużo się mówi i pisze dytyrambów o stołypinowskiej idei „zjednoczenia". Wysunięto nawet przypowieść o „rosyjskim Bismarku". Trudno o fałsz jaskrawszy. Bismark, jednocząc Niemcy na gruncie wspólnej idei wielkopaństwowej, ukuł dzisiejszą ich olbrzymią potęgę z czynników świadomej woli i swobodnego współdziałania, przyczym wewnętrzna auto-

nomja wszystkich państw Rzeszy pozostała zupełną i nietykalną.

A gdzież w dziele Stołypina ideja złączonej w chętnym i świadomym współdziałaniu Rzeszy Słowiańskiej? Wśród represji i szykan, gdzież bodaj mglisty przebłysk możliwych Stanów Zjednoczonych Wschodniej Europy?

Nie było go i niema, a był natomiast bezmyślny, karli i ślepy system rygorów i ograniczeń plemiennych, system opłakany dla stron obu a nadewszystko szkodliwy dla państwa, w którym dążności odśrodkowe zwiększać się muszą z mocą żywiołową.

W stosunku do Polaków, do których zmarły premjer specjalną żywił animozję, dokonał tyle, że w krótkim czasie niezaprzeczony nastrój pojednawczy stracił tu wszelką rację bytu, wszelki realny grunt pod nogami — na rzecz dawnych przedpozytywistycznych haseł, które w tych warunkach odradzają się i licznych zyskują adeptów. Jest to może na rękę tym, co czerpią obfite środki utrzymania z tropienia krajowej „kramoły", ale skądinąd nie jest faktem wesołym..

Wreszcie, bez końca likwidując t. zw. rewolucję Stołypin poszedł za daleko i stworzył czynniki nowego fermentu, którego sam padł pierwszą ofiarą, czyli doczekał się tych samych rezultatów, co Plewe, tylko z większym daleko nakładem krwi, ofiar i kosztów.

W końcowym bilansie wypadnie chyba zanotować t. zw. *stronnictwo szwagrów* w Radzie Państwa, jako bezsprzeczną własność premjera i wytwór jego epoki.

Rosyjski więc Bismark, gdy mu się przyjrzeć uważnie, podobny się staje do Metternicha, również słynnego wroga rewolucji, który przedłużał okres „uspakajania" i odkładał czas „reform" dopóki nagłe ich parcie w r. 1848 nie zmusiło go do śpiesznego wyjazdu z Wiednia w narzuconym naprędce damskim okryciu, poczym kraj przez długie lata naprawiał poczynione przezeń szkody, a i dziś wspomina go bez tkliwości.

# Z zagadnień współczesnej polityki marksizmu.

2)

(Ciąg dalszy).

Nie będziemy się wdawać w rozbiór marksowskiej teorji państwa, ani doszukiwać się jej ułomności. Przypomnimy tylko słynne twierdzenie Marksa, głoszące, że z chwilą dokonania się rewolucji mieszczańskiej, państwo zlało się w zupełności z klasą panującą, stając się narzędziem oraz wykładnikiem interesów tej ostatniej. Wskutek tego, — takie było zdanie Marksa, — proletarjat stoi w tym samym stosunku wobec państwa, co wobec burżuazji. A więc robotnicy nie mogą stosować dwu taktyk odrębnych: jednej przeciwko burżuazji, drugiej przeciwko państwu. Walka proletarjatu przeciwko burżuazji z konieczności jest zarazem walką jego przeciwko państwu.

Owóż historja ostatnich lat dziesiątków tezy powyższej bynajmniej nie usprawiedliwia, wysuwając natomiast tezę wręcz przeciwną. Nigdzie, być może, w ideologji Marksa, nie zarysował się między doktryną a faktami przedział większy, niż w tym właśnie miejscu. Na tę jaskrawą rozbieżność zwraca uwagę w cennej pracy p. Artur Labriola, [1]) autor stojący na skrajnie lewym skrzydle współczesnego socjalizmu i głęboko przekonany o roli odrodzeniowej i rewolucyjnej marksizmu. Atoli marksizm pojmuje on jako narzędzie myślenia, jako metodę, nie zaś jako dogmat. Nie zamyka oczu na jego strony słabe, rozumiejąc, że ów ma dosyć stron silnych, które go przy życiu utrzymają. Przeciwnie: radykalizm przekonań potęguje w nim czujność krytyczną. Sposobiąc się, jako działacz, do walki, doświadcza on, niby młotem próbierczym, każdej poszczególnej części systemu, krusząc i odtrącając każdą myśl, każde twierdzenie, które ciosu próbiercy nie wytrzyma, w nadziei, że zdrowe i niepożyte jądro doktryny, zbywszy martwego balastu, stać się może tylko żywotniejszym przez to i większego nabrać rozpędu.

Nie ulega wątpliwości, utrzymuje Labriola, — że ewolucja historyczna, jaka dokonała się od roku

---

[1]) „Karl Marx — l'économiste et le socialiste."

---

4)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

# FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

Od pewnego czasu Andrzej zauważył dosyć miłej powierzchowności staruszkę, która mu się przyglądała ze szczególną uwagą. Była to stara panna Brauman, mieszkająca naprzeciw Rollów nieco wyżej, bo na drugim piętrze, razem z dwoma kanarkami i obrzydliwym, starym jak ona i posiwiałym, załzawionym wiecznie mopsem, który nosił romantyczne imię Filon a zdrobniale Finiuś. Codziennie wychodziła rano na mszę z punktualnością, którejby napewno ksiądz, ową mszę odprawiający pozazdrościł — i wracała drobnym kroczkiem, trzymując sznurkową kobiałkę, w której przynosiła sobie zawsze prowianty na obiad.

Stara panna mimo cichego, spokojnego życia nie cieszyła się sympatją w kamienicy. Wielki dom mieszkalny, jest jak małe prowincjonalne miasteczko. Każdy wie o drugim wszystko, czego nie powinien wiedzieć. To przedewszystkim i zawsze w najdrobniejszych szczegółach O pannie Braumann zaś opowiadano sobie legendy po kuchniach — tym straszniejsze, że o tej suchej staruszce nikt nic pewnego nie wiedział. Mieszkała od kilku lat, lecz tryb jej życia był nużąco jednostajny. Nikt u niej nie bywał i nigdy sama nie wychodziła. Z nikim w kamienicy również nie zawiązała stosunków sąsiedzkiej sympatji, była odosobniona, spokojna, cicha i byłaby zapewne ulubienicą sentymentalnych mieszkańców, gdyby nie straszna wada, która wszystkie jej cnoty niwelowała od jednego zamachu. Panna Brauman z pasją zastarzałego nałogu oddawała się szpiegowaniu. Każdą wolną chwilę poza sprzątaniem mieszkania i przyrządzaniem dla siebie jedzenia, spędzała przy oknie, wpatrując się we wszystkie okna sąsiadów po kolei. Wówczas na jej suchej, pomarszczonej twarzy, podobnej do skóry upieczonego w popiele jabłka—odbijała się radość wielkiego zainteresowania.

Andrzej napewno nie zwróciłby na nią wielkiej uwagi, gdyby przechodząc nie szepnęła:

— Strzeż się rozpustniku.

Drgnął i zatrzymał się zdziwiony. Koło niego przesunęła się śmieszna figura starej panny. W starej, niemodnej od kilkudziesięciu lat mantyli, cuchnącej

1830, oceniona została przez Marksa w sposób mało zgodny z rzeczywistością. Owo stopienie się burżuazji z państwem, przez Marksa obwieszczone, jako zjawisko konieczności owe i powszechne, w gruncie było zdarzeniem tylko miejscowym, a przytym niezupełnym. Po za obrębem Francji, stopienie to albo wcale nie zaszło, albo zaszło w całkiem różnych okolicznościach. Wszelako, ani we Francji, ani gdzieindziej, zbieżność klasy panującej z państwem, nie pozbawiła państwa — niezależności. Niezależność ta wzrasta nawet z dniem każdym. Jesteśmy obecnie świadkami takiego rozrostu państwa, iż władza państwowa góruje nad wszelką inną. Zawrotna wybujałość rozchodów publicznych wskazuje, jak niezmierna siła ekonomiczna spoczywa w ręku państwa. Państwo to ulega procesowi coraz głębiej idących przeobrażeń. Jest ono dzisiaj już nie tylko *wypadkową* sił i czynników społecznych: samo zajęło ono miejsce wybitne w szeregu owych czynników, samo stało się *siłą*; nie jest ono tylko *wytworem*, ale także i *współczynnikiem* wytwórczości, i bodaj czy nie największym ze wszystkich. Z narzędzia, przeistoczyło się w pana. Abstrakcyjne państwo ustroju burżuazyjnego stało się nanowo blokiem realistycznym, który bynajmniej nie myśli wysługiwać się jakiejś klasie. Państwo, porosłe w potęgę i samodzielne, zdaje się raczej posługiwać burżuazją, niźli jej służyć. Powoli ustaliła się pewna dziedzina gospodarki, w której wszelkie próby przedsiębiorstwa prywatnego zakrawają na chimerę. Na oczach ekonomji politycznej, która niegdyś udowadniała nieudolność administracyjną państwa, powstają codzień i rosną, prosperując świetnie, ogromne przedsięwzięcia publiczne — państwowe oraz municypalne. Ekonomja polityczna może strzec nadal swych kanonów przeciwpaństwowych: przedsięwzięcia publicze, pomimo to, rozwijać się będą coraz bardziej z każdym dniem, wykazując jałowość oderwanych zasad mądrości profesorskiej.

Starano się niegdyś rozgraniczyć dziedzinę państwa i dziedzinę ekonomji. Lecz dziś jakże to uczynić?

Państwo dzisiejsze jest nietylko władzą polityczną, ale także i ekonomją. Walka klas, sama przez się, na państwie się nie odbija; bezpośrednio nie dosięga go wcale.

Formuła Marksowska, utożsamiająca rząd państwowy z klasą burżuazji, napotyka tedy zaprzeczenie w całej fali wypadków historycznych, jakie się niemal w oczach naszych rozwinęły.

Oczywiście, Marks nie mógł przewidzieć tego rozrostu potęgi państwa i tej samodzielności, jaką zdobyło wobec środowiska ekonomicznego, w którym wyrosło; w szczególności, jednak, przesadził doniosłość odosobnionego wypadku Francji, której obraz w przeciągu, zresztą, krótkiego tylko okresu usprawiedliwiać mógł przepowiednie Marksa. Błąd jego polegał na tym, że państwo kapitalistyczne niesłusznie utożsamił z państwem kapitalistów. Państwo przemysłowe, uprawiające na kolosalną skalę przedsięwzięcia użyteczności publicznej a zarazem stosujące politykę interwenjowania w stosunkach między pracą a kapitałem, jest, bez wątpienia, państwem kapitalistycznym, ale nie jest w ręku kapitalistów. Państwo uprawia swe przedsięwzięcia na podstawie tych samych zasad, które rządzą przedsiębiorstwem kapitalistycznym, ale nie można powiedzieć, aby prowadziło je na rachunek klasy kapitalistów. Trzeba nawet przyznać, że prowadzi je w interesie powszechnym społeczeństwa.

Ewolucja, jaka odbywa się w kierunku coraz głębszego zróżnicowania interesów państwa oraz interesów burżuazji, jest tak uderzająca i powszechna, że nie liczyć się z nią niepodobna. To też wszędzie gdzie umysłowość robotników wyrasta na konkretnym podłożu potrzeb rzeczywistych, gdzie nie jest ona tylko biernym odbiciem ideologji partyjnej, ale koordynacją i spożytkowaniem doświadczeń życiowych, tam wszędzie proletarjat porzuca dogmat marksizmu, i względem państwa przybiera postawę inną, niźli względem klasy kapitalistów. Robotnicy odróżniają ściśle oba te obozy, odróżniają tak dalece, iż, zwalczając kapitalistów, domagają się coraz głośniej reform społecznych od państwa i witają życzliwie każdy krok na drodze upaństwawiania przedsiębiorstw prywatnych. W ostatnich latach chęć przejścia na służbę rządową objawiała się ze strony robotników niejednokrotnie z siłą samorzutną: jako przykład stawia Labriola pracowników kolejowych we Włoszech, którzy, bądź co bądź, uchodzą za żywioł śród klasy robotniczej, najbardziej rozwinięty i wyrobiony. Korzyść, którą mają na uwadze, dążąc do upaństwowienia instytucji, jest niezaprzeczona: naogół bowiem, istotnie, państwo lepiej wynagradza, wymagania zaś stawia mniejsze; szczuplejszy, natomiast, zakres wolności politycz-

---

naftaliną, wyglądała, jakgdyby uciekła z szafy, w której prowincjonalny amator starożytności chował różne graty, minionej przeszłości. I oto dziwną tajemnicą poruszający się antyk robi pewne wrażenie człowieka i mówi dziwne zdanie, nie podnosząc oczu: „Strzeż się rozpustniku". Andrzej uśmiechnął się wesoło. Spojrzał z wielkim zainteresowaniem na drepczącą ku swoim wschodom dziwaczkę i wzruszywszy ramionami — pobiegł do mieszkania.

Godzina była wieczorna i w stołowym pokoju syczał srebrny samowar ślubny, dar jednej z ciotek pani Emilji. Ona sama, niepozwalająca nigdy na to, aby służąca wtrącała się do kolacji — sama jak zawsze przyrządzała umiłowany przez Andrzeja napój, smarując mu bułki masłem i przekomarzając się ustawicznie na gruncie jego niby małego apetytu. Poeta był ciągle na stanowisku miłego, serdecznego gościa—przyjaciela i nieraz tą delikatną dobrocią przejęty, dziękował, pełen słodkiego wzruszenia.

Przyszedłszy teraz, przywitał się i usiadłszy na „swoim" miejscu, zaczął opowiadać o wizycie u Górnickiego. Jan nie posiadał się z radości, gdy mu poeta słowo w słowo powtórzył prawdę, wypowiedzianą o kamienicznikach. Śmiał się szczerym, prostym śmiechem jak dziecko, całując przytym co chwila rękę żony która objąwszy go ramieniem za szyję, przycisnęła twarz do jego twarzy.

Wyglądali cudnie, oboje młodzi, zdrowi i ładni. Poeta, który od czasu swego dobrobytu był wielkim zwolennikiem życia — patrzał na nich z zachwytem. Jest coś przejmującego radością w widoku oddanych sobie całą duszą kochanków. Małżeństwo Jana nie było grobem jego miłości, nie było nawet jej zachwianiem. W świetnych warunkach dobrobytu ich uczucie nie gasło w zaduchu przyziemnych kłopotów — i może po raz pierwszy złośliwe zdanie Guy de Maupassant'a: *Echange des mauvaises humeurs pendant le jour, des mauvaises odeurs pendant la nuit* — nie mogło być zastosowane.

— Wiecie — rzekł Andrzej — że kiedy patrzę na was, jak tak siedzicie przytuleni. . to mam wrażenie, że niebo nie zaciemniło by się z oburzenia, gdyby was przeniesiono na Arkadyjskie łąki. Pamiętasz Janie obraz Stuck'a? Miłość, o której tyle się ludzie już nagadali, jest zawsze piękna i świeża, jak stary krzak róży, który co rok zakwita nowymi kwiatami.

Oni uśmiechnęli się do niego życzliwie.

— Masz słuszność — rzekł Jan. — Bez Mili nie byłbym szczęśliwy. Ona mi daje ten promienny spokój, o którym marzyłem, do którego wyciągałem ręce całe życie. Wogóle uważam, że jest nam dobrze, tak

nej, jakiej pracownikom swym udziela, wynagradza wyższym stopniem niezależności osobistej, przysługującej tym ostatnim wobec przełożonych, którzy, acz na wyższych stanowiskach, przecież urzędnikami są jak tamci. Podobnież dzieje się we Francji, gdzie przemysł cukrowniczy blizki jest przejścia niepodzielnie w ręce państwowe; lecz nawet wówczas, gdy państwo nie zamienia pewnej grupy przedsiębiorstw w gałąź własnego zarządu, zazwyczaj poddaje ono przedsiębiorstwa owe tak pilnej ze swej strony kontroli, że daje niemal początek nowemu prawu współwłasności, przypominającemu poniekąd wywłaszczenie publiczne.

Z drugiej jednocześnie strony publiczna własność państwowa oraz posiadłości municypalne, w miarę stopniowego rozrostu, wydają się upragnionym zawiązkiem własności zbiorowej, ową pierwszą wyspą kolektywizmu, który kiedyś zjednoczy i ogarnie świat cały.

Labriola nazywa ruch ten i związane z nim aspiracje klasy pracującej zboczeniem od właściwej taktyki socjalizmu, zboczeniem, które minąć musi, aczkolwiek dziś głęboko tkwi korzeniem w warunkach rzeczywistości. Oczywiście, jednak, minie ono nie rychlej, aż zmienią się owe warunki społeczne, które stanowią o odrębnym istnieniu państwa, uniezależnionego od burżuazji. Pogląd Labrioli, niepochwalającego współczesnych państwowościowych dążeń robotników, jest zrozumiały: stojąc na stanowisku syndykalizmu rewolucyjnego, wrogo musi on patrzeć na wszelkie objawy i dążności życia zbiorowego, odsuwające w dal nieograniczoną wizję ostatecznej rozprawy zbrojnej między klasą robotniczą, a ustrojem społecznym, obwarowanym przez państwo. Najgorętsze atoli sympatje stronnicze i również stronnicze uprzedzenia nie mogą zmienić surowej wymowy faktów; fakty zaś świadczą, że tam, gdzie rządy kraju opierają się na podstawie demokratycznej, gdzie państwo uprawia politykę szczerą i liberalną, idącą w kierunku istotnych reform społecznych, tam robotnicy chętnie widzą w nim swe oparcie, szaniec obrony i ucieczki. Do państw takich należą w Europie kraje zachodnie i południowe: Francja, Włochy, Austrja. W krajach rzeczonych dążność do stworzenia własności państwowej powitano jako początek przeobrażeń socjalistycznych; socjalizm zaczyna zwolna zlewać się tam z państwowością.

Ten obraz ewolucji, jaki nakreśliliśmy powyżej, charakteryzuje przedewszystkim owe trzy nadmienione kraje; co się tyczy reszty państw Europy Zachodniej, to te same dążności zapewne nie omieszkają się w nich uwydatnić z chwilą, gdy rządy ich spoczną w rękach szerokiej, otwartej demokracji. Najdalej obecnie od chwili owej stoją Niemcy dzisiejsze, w których potęga arystokracji, wsparta na arbitralnej przewadze korony, reprezentuje dość silne jeszcze przeżytki feudalizmu.

Niemcy nie są państwem nowoczesnym, w ścisłym znaczeniu słowa. Jeśli zaś zatrzymamy wreszcie uwagę na Rosji, która interesuje nas najbliżej, to o niej powiedzieć wypadnie chyba to, że stoi zgoła poza nawiasem nowoczesności, nie jest bowiem jeszcze państwem praworządnym. Jeżeli w Niemczech opinja publiczna nie ma sposobu wywierania skutecznej kontroli nad rządem, to w Rosji opinja owa nie posiada możności swobodnego się skonsolidowania, ba! niekiedy prostego nawet ujawnienia. Cenzura prewencyjna uśmiercona już aktem ustawodawczym, odżyła znów w terorze administracyjnych kar, sypiących się poza sądem i prawem.

(d. n.) *St. Romanowski.*

# Listy z Galicji.

## XIII.

Podolacy. Projekt sejmowej reformy wyborczej prof. Starzyńskiego. Lewica sejmowa. Sprawa ruska i sejm.

Przez całe lato podolacy w swojej *Gazecie Narodowej* atakowali gwałtownie namiestnika Bobrzyńskiego i wspólnie z narodową demokracją występowali energicznie przeciwko Rusinom i ugodzie z nimi. Dnia 18 i 19 września odbyła się narada podolaków we Lwowie, z inicjatywy prof. Starzyńskiego, pragnącego oderwać swoich przyjaciół politycznych od prawicy narodowej, w której stańczycy mają większość.

Prof. Starzyńskiemu chodziło o to, aby podolacy mogli mieć swobodę ruchów i łącznie z narodowymi demokratami. prowadzić akcję opozycyjną przeciwko rządowi krajowemu. Narady na konferencji wypadły jednak nie po myśli prof. Starzyńskiego. Olbrzy-

---

jest, i doprawdy, ze smutkiem muszę przyznać, że bardzo mi żal ciebie.

— Mnie? — zapytał poeta zdziwiony.

— Tak, gdyż już nie długo przyjdzie nam się rozstać!

Andrzej zbladł — w drżących rękach łyżeczka zabrzęczała dziwnie. Spojrzał osłupiałym wzrokiem i wymamrotał:

— Dlaczego?

— Bo moja żona znalazła dla ciebie posadę!

Andrzej przeniósł swoje bolesne spojrzenie na panią Emilję, która się trochę zmieszała.

— Niech pan tylko nie myśli o nas co złego — zawołała pośpiesznie. — Janek wspominał, że byłby pan zadowolony z zajęcia... więc je znalazłam.

— Co tu dużo mówić — przerwał Jan wesoło.— Mila napisała do krewnych — i czeka na ciebie świetna kondycja. Będziesz brał 1200 rb. i wszelkiego rodzaju utrzymanie.

— I od kiedy? — spytał poeta bez entuzjazmu.

— Za miesiąc tamten odchodzi.

Andrzej zaczął starannie mieszać herbatę, która już dawno była zamieszana. Coś go ścisnęło za serce. Opuścił głowę — i milczał.

P. Emilja, która jasno zdawała sobie sprawę, że Andrzej w wyszukaniu tej posady widzi chęć pozbycia się jego osoby, chciała w jakikolwiek sposób zaprotestować przeciw temu. Jan odczuł to samo i przyszedł jej z pomocą.

— Tylko nie przypuszczaj, że nam z tobą nie jest dobrze — rzekł poważnie. — Jeżeli chcesz, możesz mieszkać u nas jak długo ci się podoba, a tę kondycję weźmie kto inny.

Twarz poety trochę się rozjaśniła.

— Daruj Janie — zawołał serdecznie. — Ale na Boga jest mi tu u was tak rozkosznie, że już nigdy lepiej nie będzie. Ale przecież wiem, że tak zawsze być nie może. Jeżeli pani była tak uprzejma i wystarała się o to miejsce, to ja mogę czuć tylko jeszcze większą wdzięczność.

Pocałował ją w rękę, która oddała mu serdeczny uścisk. Po chwili uspokoił się zupełnie i przypomniawszy sobie dziwne spotkanie, zaczął o nim opowiadać wesoło.

Ale Jan się nie śmiał. Siedział poważny, prawie smutny. Wreszcie rzekł niemal z trwogą:

— To nie dobrze, że ta poczwara na nas zwróciła swoją uwagę. Będą plotki!

— A któż to jest? — zapytał Andrzej, zdziwiony obawą Jana.

— Taka stara dziwaczka. Sumienie całego domu. Całe życie strawiła na szpiegowaniu i pisaniu

mią większością głosów uchwalono nie zrywać jedności organicyjnej z prawicą narodową. Znaczy to, że podolacy nie mają zamiaru prowadzić zbyt agresywnej walki przeciwko namiestnikowi. Na wspomnianej naradzie tylko kilka osób oświadczyło się za zerwaniem z prawicą narodową, należał do nich znany działacz konserwatywny prof. Józef Milewski, obecnie drugi dyrektor Banku krajowego.

Prof. Starzyński, chcąc przeprowadzić swój plan, zaprosił na konferencję podolaków posła Kozłowskiego, który jest zacofańcem pierwszej klasy, ale formalnie do konserwatystów wschodnio-galicyjskich nie należy. Poseł Kozłowski jednak nie przybył.

Podolacy, w przeciwstawieniu do stańczyków, są bardzo słabo zorganizowani. W obozie ich, co głowa to rozum. W Kole Polskim jest ich zaledwie kilku, natomiast w sejmie jest ich dużo bo koło 40-tu.

Nareszcie ogół dowiedział się dokładnie jaki jest projekt reformy wyborczej do sejmu prof. Starzyńskiego. Nie różni on się znacznie od tego, na który zgodziły się stronnictwa polskie, podczas obstrukcji ruskiej, i o którym pisałem w swoim czasie w „Listach z Galicji". Utrzymuje on kurję obecną, dodając nawet nową — izb rękodzielniczych, wprowadza od miast kurję powszechną z 10 mandatami. Zwiększając nieznacznie ilość posłów miejskich z kurji dotychczasowej, liczbę przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej pozostawia tę samą co obecnie; w kurji chłopskiej ma być głosowanie pluralne, a liczba posłów większa o kilka głosów od dotychczasowj. Projekt prof. Starzyńskiego daje kurji wielkiej własności ziemskiej możność faktycznego veta w sprawach w ważniejszych stawiając warunek obecności 152 posłów; skutkiem tego nieobecność posłów 1 kurji uniemożliwiłaby prawomocność uchwał w tych sprawach (zmiany statutu krajowego i reformy wyborczej.) Projekt ten wprowadza jeszcze trzy okręgi mandatowe.

Wszystkim mieszkańcom obszarów dworskich daje 2 głosy w kurji chłopskiej. Projekt ten prof. Starzyńskiego spotkał się obecnie z powszechną prawie krytyką w kraju. Prawdopodnie więc nie przejdzie w sejmie. Demokraci, ludowcy i Rusini zwalczać go będą stanowczo. Niewiadomo tylko jak się zachowają konserwatyści obu odłamów i narodowi demokraci, którzy zawsze gotowi są „ze względów narodowych" popierać najwsteczniejsze wnioski w sejmie.

Dnia 24 września odbyło się we Lwowie posiedzenie lewicy sejmowej. Spodziewano się, że dokona się na nim rozłam pomiędzy demokracją polską, a narodową z powodów ogólnych, oraz ze względu na omówiony wyżej projekt sejmowej reformy wyborczej prof. Starzyńskiego. Na razie jednak do rozłamu nie przyszło. Narodowi demokraci nie odważyli się bronić pomysłów prof. Starzyńskiego, mówiąc o nich jako o jego tworach osobistych. Prawdopodobnie jednak rozłam w łonie lewicy nastąpi później.

Zwołaniu sejmu krajowego stoi na przeszkodzie sprawa ruska. W roku zeszłym, pomimo obstrukcji Rusinów, sejm prowadził swoje obrady i uchwalał różne wnioski. Ostatnie posiedzenie sejmowe odbyło się spokojnie: posłowie Polacy obiecali wziąć pod rozwagę postulaty ruskie i przedstawić nowy projekt reformy wyborczej do sejmu.

Upłynęło dużo czasu i sprawa się nie posunęła. Bezmyślne stanowisko podolaków i narodowych demokratów wobec postulatów Rusinów utrudnia dojście z nimi do porozumienia. Marszałek hr. Badeni rozumie dobrze, że niepodobna odbywać znowu posiedzeń sejmowych z obstrukcją. Rząd krajowy również nie widzi żadnego celu w zwoływaniu sejmu, bez uprzedniego porozumienia się, chociażby w sprawie reformy wyborczej, oraz ilości mandatów ruskich. Dlatego też sejm nie zbierze się obecnie. Nie jest jednak wykluczone, że zwołany będzie, na dni kilka, w końcu grudnia celem załatwienia najważniejszych spraw.

Zdaje się jednak, że rozwiązanie sejmu będzie koniecznością. Nowe wybory osłabiłyby znaczenie podolaków i narodowych demokratów, których obecnie i tak jest niewielu (7). Wówczas byłoby łatwiej przeprowadzić ugodę polsko-ruską, oraz uchwalić demokratyczniejszą nieco reformą wyborczą, w porównaniu z tą jaką proponuje obecnie prof. Starzyński.

Życie polityczne w Galicji dopiero się zaczyna po przerwie wakacyjnej i nie ma w nim jeszcze ożywienia. Parlament zbierze się w początkach października. Wówczas dopiero różne sprawy polityczne posuną się naprzód.

*Ludwik Kulczycki.*

---

anonimów. Podobno nawet prowadzi dziennik, w którym zapisuje swoje uwagi.

— To bardzo ciekawe!

— Jak dla kogo. W zeszłym miesiącu doprowadziła do samobójstwa biedną szwaczkę, której odmówiła narzeczonego.

— I każdemu zawsze musi coś powiedzieć przy spotkaniu — wtrąciła pani Emilja. — Mnie np. raz szepnęła tuż nad uchem. „Jesteś za ładna, aby być uczciwą!"

— A mnie: „Strzeż się rozpustniku" — dodał Andrzej.

— Zaręczam, że mnie powie... coś w rodzaju: „Żal mi cię rogaczu", albo coś podobnego — rzekł Jan posępnie.

Poeta mimowolnie spojrzał w stronę mieszkania starej panny i wstał gwałtownie.

— Patrz Janie, stoi przy oknie!

Wszyscy spojrzeli w tę stronę i zobaczyli pokurczony, trzęsący się cień na rolecie. Stara panna najwidoczniej patrzała przez dziurkę, umyślnie w tym celu zrobioną.

— Na stanowisku! — szepnął Jan, wracając po chwili do stołu.

Wszyscy usiedli, jakiś czas milcząc posępnie. Szary smutek powiał po tych pogodnych sercach i osiadł na rozbawionych twarzach, gasząc uśmiech słodkiej beztroski. Każdemu się zdawało, że czuje nad sobą badawcze oko starej panny, przenikające grube mury kamienicy, zaglądające do dna strwożonych serc i rozszarpujące je, jak pazurami sępa... szuka jeszcze czegoś... jeszcze bardziej ukrytego, do czego nieraz człowiek sam przed sobą nie chce się przyznać! Pierwszy Jan, zapaliwszy papierosa — rzekł, jakgdyby tylko co o niej przestał mówić:

— Sumienie całego domu, zmora, dusząca strasznym memento każde jaśniejsze spojrzenie człowieka! Nie można stanąć przy oknie, aby nie widzieć jej połamanej figury naprzeciwko. Śmieje się, jak wklęsłe zwierciadło z każdego czynu, zdaje się zalewać żółcią, kiedy usłyszy śmiech, a w spojrzeniu przelewa się jad trucizny, któryby chciała dolewać do każdej potrawy, do każdej łyżki herbaty człowieka szczęśliwego. Och, nie wiesz Andrzeju, jakie oburzenie było w całym domu po śmierci tej nieszczęśliwej szwaczki!

C. D. N.

# Filozofja mody.

(Dokończenie)

Człowiek jest istotą nawskroś dualistyczną. W historji jego uspołecznienia n. p. widzimy ciągłą walkę i ciągły kompromis między socjalizmem, a indywidualizmem, czemu w zakresie biologji odpowiada kontrast między dziedzicznością, a przemiennością. Każda ważniejsza forma jego życia przedstawia pewien odrębny sposób połączenia popędu kontynuowania, upodobania, równości, z popędem do zmiany, do tego co jest odrębne, jedyne. Jeżeli n. p. teraz wymyślamy definicję mody, to jest to dążenie, aby w materjale języka, tworu socjalnego, ogólnie znanego, zawartego w słowniku, odlać myśl nieznaną, pojawiającą się po raz pierwszy w głowie jednostki. Owoż moda jest „jedną szczególną formą z wielu innych, w których celowość społeczna zobjektywizowała przeciwne prądy życia, nadając im równe prawa".

Aby to wyjaśnić, przyjrzyjmy się naśladownictwu. Gość jakiś je po raz pierwszy nieznaną potrawę — stoi przed decyzją indywidualną, ale zamiast badać i próbować, jak się to je, naśladuje sąsiadów. Nie ma czasu ani potrzeby być w tym wypadku samodzielnie twórczym, a jednak, dzięki naśladownictwu, wykonywa czyn celowy, indywidualny. Naśladownictwo jest dzieckiem myśli z bezmyślnością, uwalnia człowieka od fatygi i odpowiedzialności wyboru i czyni go „naczyniem treści socjalnych". Pojawia się ono na tym stopniu rozwoju jednostki n. p. dziecka, na którym budzi się chęć osobistej, celowej działalności a niema jeszcze zdolności do powzięcia planów indywidualnych. Wyższym stopniem działalności jest ten, na którym, oprócz tradycji, wpływa na myśli, czyny i uczucia człowieka przyszłość. Człowiek teleologiczny jest antypodą naśladującego, pierwszy idzie naprzód z twarzą zwróconą w nieznaną przyszłość, drugi idzie także naprzód: ale z twarzą odwróconą wstecz na to, co było, i po drodze napotyka wciąż na to, co mu tamten zostawił; u pierwszego przeważa różniczkowanie, u drugiego asymilacja.

Naśladownictwo nie jest jednak jeszcze modą. Moda jest tym dziwnym gatunkiem naśladownictwa, które zaspokaja nietylko od biedy chęć jakiejkolwiek osobistej, celowej działalności, ale nawet tanim kosztem zaspokaja tę wyższą chąć zróżniczkowania i odróżniczkowania się, odmiany nowości. Jeżeli dobrze rozumiem pana profesora, to zaproponowałbym mu taką definicję: Moda jest surogatem oryginalności, zrobionym z szablonu. Moda jest ucieleśnionym, żywym paradoksem. Simmel przekrawa ten paradoks w najrozmaitszych płaszczyznach jak jabłuszko i fascynuje coraz nowymi widokami, jakie się w ten sposób odkrywają.

Moda zaspakaja potrzebę odróżniania się i odmiany przez zmianę swych treści, zmianę, która modzie dzisiejszej nadaje indywidualne piętno wobec mody wczorajszej, — jeszcze energiczniej zaś przez to, że mody są zwykle modami klasowymi, że moda klasy wyższej odróżnia się od mody klasy niższej i w tej chwili „opróżnia się", gdy klasa niższa zaczyna sobie tę „wyższą" modę przyswajać (tu właśnie opuściliśmy przedtym Gaulkego). Nie zapominajmy jednak, że równocześnie zaspakaja moda także potrzebę socjalnego upodobniania się. Z jednej strony łączy ludzi na nowo, z drugiej na nowo wyodrębnia, podobnie jak np. honor stanowy. Historja mód, badana nie w sposób anegdotyczny, byłaby historją prób, zdążających do tego, żeby „zadowolenie tych obu przeciwnych tendencyj przystosować coraz to doskonalej do każdorazowego stanu kultury indywidualnej i towarzyskiej".

Moda jest jedynie wytworem potrzeb społecznych, a nie np. szeregiem prób, dążących do udoskonalenia jakiejś rzeczy celowo, jej potęga pokazuje się najlepiej w absolutyzmie i przypadkowości, z jaką narzuca raz rzeczy bezmyślne, monstrualne, to znów ideowe i piękne, to znów pod względem rzeczowym i estetycznym zupełnie obojętne. Moda jest instytucją, którąby trzeba wynaleźć, gdyby nie istniała. A ponieważ w życiu praktycznym, w polityce, w nauce, w sztuce, zbyt często względy rzeczowe stoją jej na przeszkodzie, więc stworzyła sobie swój światek w zakresie stroju, gdzie naśladownictwo jest najłatwiejsze, bo kosztuje tylko pieniądze, a nie wymaga wielkich wysiłków. Tu jest giełda jej „wartości", jej szachownica, ten szczyt, skąd najlepiej widać jej proteuszowego ducha.

Proces mody rozgrywa się zawsze między dwiema grupami, polega jednak na tym, że pewna część grupy już modę uprawia, podczas gdy druga znajduje się w drodze do niej. Bo mody nie należy identyfikować z przedmiotem mody, tu nie rozchodzi się o to, czy ona ma „być czy nie być", — gdyż moda jest tem, że zarazem jest i nie jest, jest ucieczką i gonitwą stapia w sobie urok początku i końca, nowości i przemijania, balansuje między przeszłością i przyszłością i dlatego daje nam tak intensywne poczucie teraźniejszości, jak mało które zjawisko. To, że chwila tryumfu pewnego przedmiotu mody ma już w sobie zarodek śmierci, to modzie samej wcale nie ubliża, owszem dodaje jej nowego uroku. Rzecz nowa i szybko rozpowszechniająca się, ale taka, w której racjonalność i trwanie w przyszłości się wierzy, nie jest modną; a jeżeli stę mówi o tym, że aeroplany, maszyny do pisania, radium i t. d. są w modzie, to jest to oczywistą, lecz umyślną pomyłką, aby rzeczom trwałym i racjonalnym przydać ów pikantny urok, właściwy czemuś, co jest skazane na śmierć, co jest przez to takie sympatyczne, wesołe, głupie i uśmiechnięte, jak motyl, który wyrwał się w świat. Simmel dodaje tu jeszcze myśl tak subtelną, że jej może nie rozumiem tak cienką, jak ta igiełka, która mówiła: „Takam cienka, takam cienka, ej, ej, bo się złamię!" Mianowicie: moda sama jest nieśmiertelna, chociaż każde z jej zjawisk przemija, ale fakt, że sama zmiana jest niezmienną, rzuca na każdy jej objaw szczególny refleks: „psychologiczny połysk trwałości". Dlatego kupiec, gdy reklamuje swój towar jako modny, a więc skazany na śmierć, nie popełnia nonsensu, konsument zaś kupujący ów towar kupuje w dodatku jeszcze całą modę, jak rybak böcklinowski, wyciągający w sieci z morza dziwaczną syrenę.

Dyetetycznym dobrodziejstwem mody jest to, że działa ona w wielu kierunkach jako wentyl bezpieczeństwa, jako upust pewnych popędów. Np. w wieku XIV i XV, w epoce silnego rozwoju indywidualizmu, kobiety niemieckie szukały sobie odszkodowania w najbardziej ekstrawaganckich i hipertroficznych modach stroju; kobiety włoskie, dopuszczone do kształcenia się, obcowania z artystami i t. d. nie potrzebowały tego. Dalej uprawnia moda czasem dużo swobody w zachowaniu się i w ustroju, na któreby sobie jednostka sama nie pozwoliła. Co najważniejsza zaś, moda reguluje zazdrość społeczną, bo chociaż ją pobudza równocześnie, to jednak sprowadza na tory nieszkodliwe, gdzie łatwo może być zaspokojoną. Daje dla jednostek niesamodzielnych pole do łatwego popisu, stwarza np. typ goga i snoba, który zadowala swoją „wolę do potęgi" w sposób czysto ilościowy: np. gdy śpiczaste trzewiki są w modzie, on sobie każe zrobić nosy, jak lance, w epoce wysokich kołnierzyków nosi je aż po uszy, gdy modą jest słuchać wykładów naukowych, to już nie można go znaleźć gdzieindziej. Zaspakaja żądzę wybicia się — na tle gwarancji społecznej, że mu się nic za to nie stanie. Ciekawą kombinacją socjalno-psychologiczną jest jednak i to, że suggestji mody ulega nawet ten, kto się chce od niej wyzwolić, otwarcie przeciw niej występuje, gdy np. w pewnych kołach staje się modą nosić się niemodnie.

Żądza wybicia się zadowala się tu „odwróceniem kota ogonem” i obraca się wciąż w granicach tematu, zakreślonego przez modę; gdyby zawiązało się stowarzyszenie antistowarzyszeniowe, nie byłoby ono „logicznie niemożliwszym, a psychologicznie możliwszym niż taka niemodność”. Dlatego sympatja Simmla stoi raczej po stronie tych, którzy się modzie dobrowolnie poddają, kryją się w niej, bo albo pewni są tego, że ich siła i odrębność zaznaczy się mimo wszystko, albo są to dusze subtelne, wstydliwe, które nie chcą zdradzić swej natury, czy też nie chcą wyrywać się ze swoim ja i drażnić, albo nawet upokarzać drugich. Takim wytwornym człowiekiem, który z mody czynił swoją służkę, pozornie poddając się pod jej nakazy, był poeta Wilde i jego lord Henryk w „Doryanie Grayu”.

Czyżby więc filozofja kapitulowała tak zupełnie przed modą? Nie zaokrąglilibyśmy artykułu, gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze, że w filozofji nurtują i inne, dawne tendencje, nie szanujące mody, jako „konieczności” społecznej, że np. w dziełach Bergsona zarysowuje się coś, cobym nazwał etyką oryginalności, etyką, której pierwszym przykazaniem jest, że tylko szablon jest grzechem.

*Karol Irzykowski.*

# BADANIA NAUKOWE.

## Henryk Poincaré.

(**Nauka i Hypoteza**: przekład M. Horwitza. **Wartość Nauki**: przekład Ludwika Silbersteina. **Nauka i Metoda**: przekład M. Horwitza. Nakładem Jakóba Mortkowicza).

2)

(Ciąg dalszy).

Profesor i zarazem członek Akademji Francuskiej, w której krzesło zajął, jako następca poety Sully-Prudhomme'a w roku 1906, komandor Legji honorowej i Gwiazdy Polarnej, członek-korespondent 34 akademji lub towarzystw naukowych, doktór 6 uniwersytetów — Henryk Poincaré lata całe zagłębiał się w twardej pracy na polu ścisłych badań naukowych, spiętrzając poza sobą tak długi i cenny szereg zdobyczy, że, jakkolwiek widzimy go zaszczytami zasypanego, prawie, że zgodzić się musimy z Juljuszem Sageretem, [1]) iż mimo wszystko leniwo, w tym wypadku, ciągnęły zaszczyty za zasługami.

Ogrom pracy Poincaré'go rzeczywiście jest zdumiewający. Obejmuje on całą dziedzinę nauk matematycznych, czystych i stosowanych, ponadto zaś mechanikę, fizykę, astronomję, geodezję. W dziale matematyki czystej Poincaré zasłynął jako wielki wynalazca i odkrywca. Posunął on znacznie naprzód rachunek całkowy i różniczkowy, dzięki odkrytym przez się funkcjom fuchsowskim. Wprowadził nowe pojęcia do arytmetyki. Niestety, stwierdzić trzeba dla profanów, że wiedza matematyczna posunięta jest dzisiaj tak daleko, iż między treścią wykładów szkolnych, nawet specyjalnych, a punktem wyjścia badań Poincaré'go leży jeszcze droga do przebycia bardzo długa.

W zakresie mechaniki niebieskiej, Poincaré potwierdził hypotezę Trouvelot'a, opiewającą, iż pierścienie Saturna składają się z prawdziwego pyłu satelitów, nie zaś z jednolitej masy, stałej lub gazowej. Ponadto z prac Poincaré'go wyłania się pewien wniosek doniosły o charakterze ogólnym: dotychczas mniemali astronomowie, że obliczenia, stając się coraz ściślejsze, pozwolą zbliżyć się nieograniczenie do pewnego kresu, którym będzie dokładne zrównanie ruchu planet. U podstaw mniemania tego tkwiła myśl, iż nasz układ planetarny znajdować się winien w stanie równowagi stałej, ostatecznej. Poincaré, natomiast, dowiódł, że myśl ta była błędna: po pewnym szeregu przybliżeń, dążących istotnie do wspólnej granicy, znajdziemy, powiada on, w równaniu naszego świata terminy rozbieżne, wykazujące zmianę, jaka, acz powoli, zachodzi w równowadze planetarnej. Biorąc za jedyny punkt wyjścia Newtonowskie prawo ciążenia, Poincaré genjalnie potrafił wykazać, że nawet orbity ciał niebieskich poczytywane dotąd za symbol wieczności, podlegają ewolucji.

W dziedzinie fizyki, poprzestaniemy tylko na wyliczeniu przedmiotów, badanych i rozwiniętych przez Poincaré'go: a więc — teorja analityczna ciepła, teorja wahań Hertza, teorja kinetyczna gazów, rozprzestrzenianie się elektryczności, promienie katodowe oraz promienie Roentgena, zjawisko Zeemanna, teorja Lorentza, teorja matematyczna światła, włoskowatość etc.

Z takim ładunkiem naukowym, w takim uzbrojeniu myśli, stanął wreszcie Poincaré na światowej arenie wielkich walk filozoficznych doby obecnej. Swe poglądy filozoficzne zawarł on w trzech tomach, powiązanych ze sobą wspólnością idei. Dzięki edycji pana Mortkowicza pozyskaliśmy je wszystkie w polskim przekładzie. Są to: *Nauka i Hypoteza*, *Wartość Nauki*, wreszcie *Nauka i Metoda*.

W trzech tomach powyższych Poincaré wykracza poza ściśle koło specjalistów, wtajemniczonych w znaczenie funkcji fuchsowskich, hyperfuchsowskich, i thetafuchsowskich i zwraca się do ogółu ludzi ukształconych, aby się podzielić z nimi długoletnim doświadczeniem myślowym w postaci wniosków co do wartości nauki, co do natury procesów poznawczych, wiodących ku zdobyczom naukowym, wreszcie co do właściwej istoty objektywizmu, dostępnego usiłowaniom badawczym nauki.

Słusznie uczyniono, przyswajając językowi polskiemu wszystkie trzy dzieła, gdyż wzajem się one dopełniają; i również słusznie, *tylko* te trzy przyswajając, gdyż one tylko przez ogół czytane być mogą i powinny. Specyjalista-matematyk, traktujący przedmiot swój naukowo, sięgnie z łatwością do literatury obcej po najświeższe wyniki myśli badawczej; zna on języki obce napewno, ponieważ uprawa twórcza jakiejkolwiek niwy naukowej bywa, bez tej znajomości, w warunkach naszych niemożliwa.

Poincaré, zresztą, gdyby był owe trzy tomy tylko napisał, *już* stałby się jednym z największych umysłów współczesności, zarówno dzięki zaletom swej myśli, jak doniosłości zagadnienia, które porusza.

Jako uczony i myśliciel, jako osobowość, pozyskał Poincaré w ojczyźnie swej sławę tak olbrzymią, że już za życia, dokoła niego, tworzyć się zaczyna pewnego rodzaju mitologja. Rozwój jego ducha miał być tak wczesny i szybki, jak rozwój sił Herkulesa: już w latach niemowlęcych zajmował się obiegiem gwiazd, rozpoczynając, niejako w ten sposób przyszły swój kurs astronomji. Fryderyk Masson słynny i znany nam historyk przytoczył legendę tę w mowie powitalnej, wygłoszonej na przyjęcie Poincaré'go w poczet „nieśmiertelnych”, dodając żartobliwie: „Wcześniej wykładów kursu swego zagaić niepodobna”. Czy ta przedwczesna miłość ku gwiazdom zapowiadać miała, iż uczuciem jej zapalony entuzjasta zajmie z czasem w gronie „nieśmiertelnych” miejsce poety? albo też, że sam stanie się poetą? To ostatnie przypuszczenie, zda się, zyskało widoki ziszczenia. Matematyka posiada wiele żywiołu wspólnego z poezją, jeśli, mianowicie, wierzyc mamy Poincaré'mu. Wynosi on ku szczytom uwielbienia wiedzę bezinteresowną. Jakiejż bo oczekuje on korzyści od nowoczesnego postępu?

[1]) Jules Sageret: „Henri Poincaré“.

umniejszenia nędzy, bez wątpienia, wyższej stopy dobrobytu, szerszego tchu wolności; atoli w tym wszystkim widzi on dopiero środek; cel zaś dla niego ostateczny polega na tym, aby ludzkość uprawiać mogła sztuki i wiedzę. Wskazuje on w samej pracy naukowej szczęście, w oderwaniu od jej wyników, głosząc, iż jest to szczęście o charakterze estetycznym. Matematyk w harmonji liczb, fizyk w harmonji zjawisk, odnajdą to samo szlachetne zadowolenie, które malarz dobywa z harmonji barw i kształtów, a poeta z harmonji obrazów i muzyki słów. Poincaré posiada przytym jeden z najszczytniejszych darów poety: potęgę twórczej wyobraźni. Jego to wyobraźni potęga stworzyła świat nie-euklidesowy. Spójrzmy, na chwilę, w zawrotną dalekość tej fantastycznej koncepcji, w zastraszającą jej odległość od krawędzi naszych zwykłych ziemskich orjentacji. W tym celu, będziemy musieli wyobrazić sobie, powiada Poincaré, pewien skończony świat kulisty, dajmy na to, o promieniu $R$, w którym pod wpływem siły podobnej do zimna kurczą się wszystkie ciała w miarę oddalania się od środka i jednocześnie, w miarę tegoż, zbliżają się do siebie promienie świetlne: w świecie takim, ciało pewne przebiegłszy, poczynając od środka drogę $\frac{R}{2}$ podlegnie skróceniu swych wymiarów do połowy ich długości pierwotnej, do $\frac{1}{3}$ po przebieżeniu drogi $\frac{2R}{3}$ do $\frac{1}{4}$ po przebieżeniu drogi $\frac{3R}{4}$ i tak dalej. Ów świat skończony wyda się nieskończonością swym mieszkańcom, którzy nigdy nie zdołają dosięgnąć jego obwodu. Gdyby się wznieśli na aeroplanie, naprzykład, tętno śmigła, silnica, sam lotnik zmniejszałby się stopniowo i nieustannie, w miarę zbliżania się ku powierzchni kuli. Mogliby dotrzeć do niej miljon razy bliżej, niż byli na początku, atoli, jednocześnie, posuwaliby się miljon razy wolniej.

W takim wszechświecie, gieometrja nie mogłaby opierać się na zasadach euklidesowych; w szczególności, nasze proste nie pozostałyby w owym świecie prostymi, ponieważ światło rozprzestrzeniałoby się tam po linjach, będących dla nas krzywymi. Wynika stąd bezpośredni wniosek, że bezwzględność metafizyczna nie obejmuje ani przestrzeni, ani pewników gieometrji.

Co za ogrom fantazji bije z tego pomysłu, zawierającego tak niedostępną ideę filozoficzną w zwykłym, prostym obrazie! Rozpędem fantazji, rzecby można, Poincaré pokonywa Wellsa!

Ale zarazem uderzyć nas musi wniosek inny: Poincaré, jako matematyk, obala powagę absolutu w łonie nauk matematycznych, wykazując możliwość istnienia różnorodnych gieometrji, możliwość nieskończonej liczby systemów gieometrycznych, zasadniczo sprzecznych między sobą.

„Pewniki gieometrji, powiada, są tylko zamaskowanymi definicjami". (*Nauka* i *Hypoteza*)

Lecz skoro tak, to cóż trzymać należy o twierdzeniu: gieometrja euklidesowa jest prawdziwa? — Oto, twierdzenie powyższe, poprostu, nie ma żadnego znaczenia.

„Jedna gieometrja nie jest prawdziwsza od drugiej, twierdzi autor; może być tylko od innych dogodniejsza".

W ten sposób Poincaré kładzie nacisk stanowczy na *dowolności* nauk matematycznych.

Bez wątpienia, nauki te odpowiadają rzeczywistości, w tym znaczeniu, iż są one przystosowane do symbolizowania pewnych stosunków zachodzących w świecie rzeczywistym; nie zostały nam one przez rzeczywistość poddane, ściśle mówiąc, umysł nasz atoli wynalazł je przy sposobności doświadczenia. Nasza wiedza matematyczna w tej postaci, w jakiej ustaliła się powoli, aby dogodnie wyrażać to, co wyrażać mamy potrzebę, jest jedynie pewną matematyką poszczególną śród nieograniczonej liczby matematyk możliwych, a raczej jednym z poszczególnych przypadków matematyki nierównie ogólniejszej, do której ujęcia zmierzali matematycy ubiegłego stulecia. Z chwilą, w której zdano sobie z tego sprawę, zrozumiano jednocześnie i to, że matematyka, w swej istocie i na mocy swej natury całkowicie jest niezależna od użytku, jaki faktycznie oddaje w doświadczeniu, a przeto całkowicie pozostaje niezależna od doświadczenia.

Matematyka — to najlotniejszy, najbardziej dowolny wytwór naszego umysłu, najdobitniejszy objaw jego wewnętrznej, własnej płodności.

Aksjomaty, definicje, założenia, wymagalniki — są to, w gruncie, wyrazy jednoznaczne. Każda z matematyk, jakie możemy sobie wyobrazić, zdolna jest doprowadzić do wniosków, które odpowiednio przełożone dzięki właściwemu systemowi założeń, pozwoliłyby nam odnaleźć dosłownie tożsame zastosowania do rzeczywistości. Zali języki rozmaite nie nadają się w jednakim stopniu do wyłożenia tych samych myśli?

Matematykę naszą wybraliśmy jedynie dlatego, że dokonywa wykładu tego najprościej, a może także i dlatego, że nawyk stopniowo nas w niej zamykał.

Dowolny tedy wytwór naszego umysłu, potym spożytkowanie wytworu tego w doświadczeniu, spożytkowanie, które rozstrzygnęło o rozwinięciu tego właśnie wytworu, nie zaś innego, — oto, jak należy pojmować w ogólnych zarysach, wedle Poincaré'go, stosunek doświadczenia względem matematyki.

(d. n). *W. Rzymowski.*

# KRYTYKA.

## Kościół i religja w pojęciu Słowackiego.

III.

W „Gienezis z ducha" poeta niewątpliwie korzystał z badań i teorji ewolucji, którymi w jego czasach interesowano się nietylko wśród uczonych, ale i w szerokich kołach publiczności. Badaniom czysto naukowym zostawia wykrycie dróg, którymi natura zdążała do swego celu ostatecznego — człowieka i sam entuzjazmuje się tylko wielką myślą o postępie w twórczości ducha.

„Ja, błędny i zamyślony o Tobie, zaledwo w kilku poczuciach prawdy rozweseliłem się, przeglądając twory, około mnie będące: często liść trawy, albo ptaszynę, która na płocie świergotała... Ale z jaką radością o! Panie, widziałem, że mi się rzecz każda niby z jednej idei o twórczości ducha rozwija. Ty wiesz! któryś zatrzymał ducha na ustach moich i pozwolił, że jeszcze dni kilka pożyję, zatrudniony tą ciągłą rozmową z tajemnicami natury".

Należy pamiętać to zastrzeżenie poety, czytając „Gienezis". Inaczej wydać się ona może dziecinnym gaworzeniem w porównaniu z jędrnym językiem dzisiejszej nauki. Będzie nas raziło pomieszanie epok gieologicznych i wplatanie fantazji pomiędzy fakty realne. Patrzeć trzeba na utwór Słowackiego, jak na poemat natchniony, nie traktat naukowy.

O stworzeniu człowieka nie mówi się w „Gienezis" i jeśli chcemy dalej śledzić myśl poety, to musimy przeczytać „List do Rembowskiego". Tam znajdujemy rozdział: „Dzień rajski" i widzimy, że poeta rzucił dawnego cicerone — naukę, a oddał się pod opiekę pięcioksięgu Mojżesza. Pod tym tchnieniem

opisany jest dzień rajski z następującym wszakże zastrzeżeniem:

„Gdyby nie Chrystus — gdyby nie poznanie dzisiejsze jego duchowoj mocy — a różnej od nas, bożej, a jednak cielesnej natury, wyznają, że ani kroku dalej nie moglibyśmy uczynić na drodze wiedzy... A ten dzień gienezyjski„i to stworzenie człowieka *na obraz boży* wydałoby się wiecznym pochlebstwem Mojżesza".

Mamy więc Chrystusa po raz pierwszy, Jest on usprawiedliwieniem Adama, więc Adam przed grzechem, stworzony na obraz i podobieństwo Boga ma cechy Chrystusa „Cele ostateczne globowe są Chrystusem" czytamy w Liście do Rembowskiego, stworzenie Adama było więc dojściem do celu ostatecznego. Ale przychodzi grzech i strąca ducha ludzkiego w przepaść, z której po raz drugi musi się wznosić do światła. O grzechu tym była wzmianka w „Gienezis z ducha," tylko tam, czytając ustęp odnośny, mogliśmy myśleć, że stał się on w momencie, w którym duch brał na się postać ludzką, a nie już po wcieleniu:

„A gdy oto zaleniwiwszy w pracy, mój duch słoneczność z siebie wydobyć zaniedbał i z drogą się twórczości rozminął, Tyś go, Panie, walką sił wnętrznych i rozbratnieniem onych ukarał, nie światłem już, ale ogniem niszczycielem błysnąć przymusił".

Z zestawienia „Gienezis" i „Listu do Rembowskiego", otrzymuje się wrażenie niekonsekwencji, której jednak w duszy Słowackiego nie było: przykroił on sobie, jak wielu przed nim i po nim, dane naukowe do tekstu biblijego. Wszak znane jest powszechnie ratowanie sześciu dni stworzenia przez rozdłużanie ich w okresy gieologiczne. Skonstatować musimy, że myśl Słowackiego nie jest zupełnie wyzwolona: snuje ona coprawda samodzielnie, ale zaczepiwszy nić o dawny autorytet. Pod tym względem poeta idzie tak daleko, że nawet tam, gdzie najdalej odbiega od uznanych dogmatów chrześcjańskich, mianowicie gdy mówi o metampsychozie, powołuje się na tekst Pisma. (Patrz: Wykład Nauki).

Postać Chrystusa działała zawsze na wyobraźnią poety, a podróż do ziemi świętej pozostawiła w jego duszy ślad niezatarty. O wykreśleniu tej postaci z koncepcji mistycznej mowy być nie może, chodzi tylko o to, jakie Słowacki wyznaczył jej miejsce. Posłuchajmy w tej mierze jego „credo", zapisane w Notatkach i zapiskach w raptularzu (Gubr. X—387).

„Wierzę w Chrystusa, syna bożego, jako w słowo świata, który nas duchy i członki swoje jednoczy, sprawę naszą ku celom bożym prowadzi — a objawion w ciele ludzkim, ukrzyżowan był—i z ciałem zmartwychwstał — uniesion jest w obłoki".

W „Urywkach" (Gubr. X — 475) czytamy jeszcze: „Teraz wiem, iż i mnie małemu duchowi ziemskiemu — o ile się w pracy słowem ze słowem świata połączę — dawany jest ciągle Duch Święty, wiecznie przez Ciebie rodzony i przez formy syna wiecznie odradzany—Jednoczyciel Najświętszy — Ducha Stworzyciela z *Duchem, Kształtów objawcą*".

Z powyższego wynika, że twórcze duchy ludzkie, t. j. myśli boże, synowie boży, (według Gienezis) jednoczą się i otrzymują natchnienie przez „Kształtów Objawcę," Chrystusa, myśl przewodnią, zasadniczą, idealną Boga, Ducha Stworzyciela.

„O rozjaśnienie wnętrza modlić się będą, aż w sobie stojącego jasnego Chrystusa poczuję". (Urywki).

Poczucie w sobie Chrystusa t. j. myśli przewodniej niepoznawalnego Boga prowadzi jednostkę na drogę właściwą twórczości ducha. Dlatego Słowacki uważa, że Chrystus, a nie Jehowa ukazał się w krzaku ognistym Mojżeszowi i ukazywał się wogóle bohaterom starego testamentu w chwilach przełomowych życia, skłaniając ich do czynu.

Ale twórczość indywidualną otamowują lub pogłębiają inne duchy.

„Wszyscy mamy w sobie ducha wspólnictwo... a nic się duchowego w świecie nie stało bez potrącenia całej masy duchów, całej tej harfy strun aż do ostatniej struny, jęczącej po dziecinnemu w materji" (Wykład Nauki).

„Jasną dla nas jest rzeczą, że każda odmiana formy, każde wstąpienie ducha z progu niższego na wyższy otrzymywane było nie przez jednego tworu modlitwę, ale przez utęsknione westchnienie ducha, z całego globu boleścią wydobyte" (List do Rembowskiego).

Stoimy z poetą nad pełną przeszkód i trudności drogą postępu, którą on nam po swojemu tłómaczy przez wprowadzenie w grę całych regjonów duchów, wzajem na siebie oddziaływających, pędzonych do światła przez jasną postać Chrystusa, ale tracących w drodze siły i grzeszących lenistwem, zgnuśnieniem, poddaniem się władzy ognia, t. j. namiętności.

„Pytasz mię, czemu duch już w gienezyjskiej pracy zgrzeszył, to jest zabawę z materją nad ciągłą ofiarę przekładał, a ty, człowiek, duch w doskonałej dziś formie, któremu powiadam, że przez prawo ofiary mógłbyś dojść do otrzymania najcudowniejszych kształtów, wolisz wrócić się ku zabawie ze światem poddać się pod przesądne prawa jego" (Notatki i zapiski w raptularzu).

Z tego światopoglądu płynie cała etyka: trudny, pełen ofiar bój z materją i światem o światło, którego prawzorem i uosobieniem — Chrystus. Dźwignią tej etyki jest wiara, iż prawzór ten jest zarazem celem do osiągniecia dla tworów naszego globu.

„Wziąwszy za podstawę wolność i twórczość ducha, doprowadziłem myśli wasze, niby piramidalnie zakończone, w światło złote nowo-jerozolimskich grodów... *na skrzydłach wiedzy i miłości* zatrzymaliśmy się troje przed Chrystusem i przyrzekliśmy, że *już nie sami, ale z całym światem*". (Notatki i zapiski w raptularzu).

Najbardziej bijącą w oczy herezją z punktu widzenia kościołów chrześcijańskich jest wiara Słowackiego w metampsychozę dusz. Poeta jednak mało się o to troszczy. Szuka wprawdzie dla niej usprawiedliwienia w piśmie świętym, ale przedewszystkim usprawiedliwienie to znajdujo we własnym uczuciu.

Z jednej strony nie wystarcza mu ewolucja form materjalnych, bo „wszystko przez ducha i dla ducha, a nic dla celów cielesnych nie istnieje". Z drugiej ani wieczne męki piekielne, ani wieczne gnuśne niebo nie mogą się zmieścić w jego ewolucyjnym światopoglądzie w którym duchy ludzkie są spółtwórcami Boga, a cel ostateczny leży w przyszłości.

„Sądzę, iż sprawiedliwość i miłość bożą ku światu bez pomocy czyśćca i piekła, a jedną tylko nagrodą, która jest w zdobyciu celów ostatecznych, odkryjecie". (Wykład nauki).

Nauka o ewolucji form materjalnych znajduje wytłomaczenie w dążeniu duchów do celów coraz wyższych, a śmierć jest zasłoną, kryjącą za sobą sprawiedliwość bożą, abyśmy nie z obawy przed karą, ani z chciwości nagrody, lecz z umiłowania celów ostatecznych dążyli w życiu do doskonałości.

Zakucie ducha w materję jest zawsze dla tegoż cierpieniem, ale świadomy celów twórczych i swej roli w świecie, obiera kształt, gdy go na ziemię wcielone duchy ludzkie ściągną swymi modłami, gdy bieg wypadków wymaga jego zjawienia się na globie. Wcielony duch traci świadomość istotnej swej misji, ale działa ślepo instyktownie w kierunku właściwym, stwarzając sobie równocześnie własne cele i zadania. Tak np. Król-Duch w ciele Popiela nieświadom jest tego, że jego zadaniem było uodpornienie ducha narodu, stworzenie Polski, na ból skały: stawia sobie za cel poznanie, czy jest Bóg na niebiosach karzący i dą-

ży do rozwiązania tego zagadnienia przez morze krwi ludzkiej. Ciekawą przytym jest rzeczą, iż cel nie uświęca środków i Popiel cierpi i za życia i po śmierci, a karą dla ducha jest widok bezmyślnego naśladownictwa jego okrucieństw przez maluczkich następców. Pokuty w takim sensie, jak w filozofji indyjskiej Słowacki nie uznaje. Duchy, które się już raz w kształt ludzki przyoblekły, nie zniżają się do form zwierzęcych, roślinnych lub mineralnych, ale np. brzoza jest naszą siostrą młodszą.

Czy to przez pokutę, czy przez uświęcenie każdy duch, niezależnie od innych, podnosi się i doskonali, zachowując przytym w najwyższym stopniu swą indywidualność. Widać to z zestawienia losów w dalszych wcieleniach ducha Popiela i Zorjana, widać też z tego, co w Wykładzie Nauki poeta opowiada o duchu pierwszego, niejako typowego mężczyzny i pierwszej typowej kobiety. On koncentruje w sobie rozum, ona uczucie. Wiecznie tęskniący za sobą, wcielają się jednak o tysiące mil od siebie i odkrywają różne prawdy w łonie zupełnie różnych narodów i kultur: ona w Indjach i Egipcie, on w Europie.

Są to jakby wcielenia dwuch pierwiastków mistycznego całokształtu w duszy Słowackiego: zachodniego chrześcijaństwa i wschodniej metamopsychozy, która urokiem piękna owiewa całą fantazję.

„Którekolwiek mi daj ze spostrzeżeń analitycznych doktora... a ja ci chorobę ducha, w przyszłym żywocie nieuleczoną, wytłomaczę".

Co za nieskończone obszary powietrzne dla ducha, którego raniło każde zetknięcie się z życiem realnym, z materją, który skarżył się boleśnie:

„Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć,
Co dnia, krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć".

I co dziwnego, że w tych przestworach, w wierze która zaspakajała wszystkie jego poetyckie tęsknoty, całą rewolucyjność dążeń, znalazł ukojenie, zrównoważenie, szczęście; że umierając, oddawał ducha w ręce Boga z taką ufnością, jakby go składał na łonie matki!

Duch ten, uświęcony przez życie, bez chwały, należnej genjuszowi, lecz z siłą, która zjadaczy chleba w aniołów przerabia, leciał do światła, w przestwory, skąd miał, jak duch Popiela ogarnąć wzrokiem umiłowaną na wieki ojczyznę i w uśmiechu niebieskim utonąć aż do nowego wcielenia.

*Władysława Weychert-Szymanowska.*

# NA DOBIE.

## Szczyt niedorzeczności.

W sferach ludowych naszego miasta krążą uparte pogłoski o nieuniknionym w najbliższych dniach wybuchu wielkiego bezrobocia... z powodu drożyzny.

Nie możemy mieć zbytniego zaufania do rozsądku i dojrzałości naszych mas ludowych, których nikt nie uczył rozsądku i które nie mogły dojrzeć w piwnicznej atmosferze obecnego bytu — mimo to jednak trudno uwierzyć, by w dzisiejszym ciężkim położeniu zechciały te masy rzeczywiście imać się środka, któryby był — powiedzmy szczerze — szczytem niedorzeczności.

Walka z drożyzną za pomocą strejków masowych — toć to jest gaszenie ognia... strumieniem nafty. Przy pierwszej próbie, w pierwszym dniu bezrobocia ceny żywności pójdą w górę i nieszczęście, zamiast być połowicznym, stanie się zupełnym. Ucierpi na tym najbardziej ludność uboga, a w pierwszym rzędzie — proletarjat.

Wobec tych niechybnych i opłakanych następstw niedorzecznego kroku nie wahamy się przestrzedz z góry ludność robotniczą i najsurowiej potępić te grupy czy jednostki, które prowadzą agitację na przedmieściach powodowane bądź egoizmem partyjnym bądź ślepą wiarą w dobroczynne skutki strajku, jako uniwersalnego środka na wszystkie dolegliwości społeczne.

Tymczasem rzeczą jest jasną, że bezrobocie, które wogóle jest prymitywnym, kosztownym i przestarzałym środkiem walki ekonomicznej — w tym wypadku zjawia się „ni przypiął ni przyłatał", bez najmniejszych kryterjów celowości, ot, jako nieświadomy odruch niezadowolenia, które obrało sobie tradycyjną, utartą drogę wypływu, zamiast obejrzeć się za sposobami bardziej skutecznego, celowego działania.

Do tych sposobów należą: zakładanie kooperatyw spożywczych, lub bodaj doraźne hurtowe zakupy najpotrzebniejszych produktów, do czego powołane być mogą komitety obywatelskie, ligi spożywców, magistrat, zarządy fabryk, wreszcie różne instytucje i związki. Należy mieć na uwadze, że w danej chwili interesy wszystkich spożywców, bez względu na klasy, są wspólne, co wyłącza konieczność antagonizmów społecznych w ich łonie. Wspólna akcja spożywców powinna wyjednać policyjny zakaz szrubowania cen po nad określoną normę, wreszcie przez stosowny dowóz produktów regulować prawo podaży i popytu. Taką właśnie racjonalną akcję zapobiegawczą mieliśmy na celu, podejmując sprawę drożyzny w jednym z poprzednich numerów *Prawdy*.

Drożyzna daje się dziś we znaki całej Europie. Wszędzie przychodzi do poważnych zaburzeń na tym tle. Wiadomo, jak groźne przybrały one rozmiary we Francji i Austrji, a mianowicie we Wiedniu. Terror gospodyń francuskich wobec przekupniów, w myśl zasad t. zw. *action directe*, spotkał się z potępieniem ekonomistów, jako „akt głupoty" bowiem jak, powiada prof. Karol Gide „niszcząc artykuły żywności, nie uzyska się obniżenia cen, lecz rezultaty wprost przeciwne".

Cóż dopiero, gdy niezadowolenie mas, zamiast w przekupniów, uderza w całe społeczeństwo ciężarem wielkiego bezrobocia! Nie byłby to już akt pospolitej głupoty, lecz objaw masowego obłędu, który bije na oślep i nieobliczalne wyrządza szkody.

To wszystko należało zawczasu przewidzieć i wytknąć, zanim będzie zapóźno. Od tego obowiązku uchyla się prasa warszawska, tchórzliwie omijając drażliwy temat, by po niewczasie wystąpić z litanją spóźnionych strofowań i łzawych jeremiad.

## Galicja konfiskuje...

Galicja — samorządna, nie gnieciona srogim jarzmem ucisku polityczno-narodowego — staje się w dobie obecnej terenem orgji stałych konfiskat „cesarsko-królewskiej" prokuratorji. .

Wszystko to pod bokiem pono praworządnego polskiego ministra i marszałka galicyjskiego.

Oto Nr. 206 (z 10 września r. b.) postępowego i demokratycznego *Kurjera* z Lublina został... skonfiskowany przez c. k. prokuratorję państwową z powodu zamieszczonej na jego łamach wspominki pozgonnej o kardynale Puzynie.

Za przedruk tej „masońskiej" wzmianki został jednocześnie skonfiskowany numer socjalistycznego *Naprzodu*.

## Eksploatacja cholery.

Kiedy w roku zeszłym niebywała powódź srożyła się we Francji, sprawiając szkód na setki miljonów — kler katolicki, nieczuły na rozpacz biedaków, otwarcie tryumfował, głosząc wszędy, że to kara boska spadła na kraj niedowiarków za rozdział Kościoła od Państwa.

Ten sam motyw bezwstydnej eksploatacji nieszczęścia rozbrzmiewał poprzednio we Włoszech, w czasie straszliwego trzęsienia ziemi, które zresztą nawiedziło najbardziej katolicką część kraju i nie oszczędziło murów katedry w Messynie narówni z masońską wszechnicą.

W tym roku na południu Włoch wybuchła cholera, zabierając setki ofiar. Ludność fanatyczna, nieokrzesana i ciemna, zamiast dopomóc lekarzom w walce z okropną epidemją, rzuciła się ze wściekłością na pełniących swą niebezpieczną służbę sanitarjuszów, niszcząc przybory, paląc baraki szpitalne razem z chorymi, dopuszczając się tysiąca ekscesów, trudnych do wiary w tym kraju, bądź co bądź kulturalnym i praworządnym.

Ciemna tłuszcza wierzyła święcie, że epidemja wybuchła za sprawą rządu, który przekonawszy się z ostatniego spisu o nadmiernym wzroście ludności, zamierzył zmniejszyć ją w sposób dość szczególny. Niedorzeczny ten pogląd podsycali i rozpowszechniali *niektórzy księża*, co stwierdziło urzędowe śledztwo, a pobożna nasza prasa przemilczała...

Ale *Dziennik Powszechny*, organ arcykatolicki, w artykule pełnym chrześcijańskiej miłości bliźniego i z podpisem księdza J. G. dał upust hałaśliwej radości z powodu tej straszliwej klęski, jaka nawiedziła Włochy w roku jubileuszowym, rzucając cień żałoby i smutku na świetność uroczystości rzymskich.

Ponieważ wspomniany świątobliwy kapłan traktuje cholerę, jako błogosławioną broń w ręku Boga i pożądaną dla Kościoła sojuszniczkę — więc przytaczamy dosłownie wyimek tych oryginalnych i wymownych dociekań warszawskiego nad-katolika:

„Obok monarchów przyjść miały ludy. Przygotowano wszechświatową wystawę, której ogromne powodzenie zeszłorocznej wystawy w Brukseli wróżyło niesłychany napływ turystów, a równocześnie przy usłużnej pomocy wolnomularskich środowisk, rozsypanych po całym świecie, zorganizowano pomiędzy dwoma rocznicami wyłomu w Porta Pia nieprzerwany szereg zjazdów, wieców i wszelkiego gatunku międzynarodowych uroczystości, mających ściągnąć do Rzymu conajmniej miljon uczestników i ciekawych.

Wszystko zdawało się rokować powodzenie tym zamiarom. Włochy wywierają nieprzepartą atrakcję na każdego kulturalnego człowieka, zwłaszcza wywiera ją Rzym. Nadzwyczajne ułatwienia i ulgi kolejowe umożliwiały wycieczkę najuboższym; perspektywa wspaniałych uroczystości i fet musiała pociągnąć każdego przeciętnego filistra. Wprawdzie Ojciec św. zakazał w tym czasie pielgrzymek i wycieczek do Rzymu, ale Ojciec św. ma przecie władzę nad samymi tylko katolikami, a katolicy niebardzo go słuchają. Zresztą ogromnej większości turystów dostarczają kraje protestanckie. Nie było więc obawy, by to zaszkodziło uroczystościom.

A jednak zaszkodziło.

Katolików wstrzymał Papież, innych — Bóg.

Przyszedł najniespodzianiej bicz Boży—wybuchnęła cholera. Strach przed zarazą przemógł solidarność masońską, fala przybyszów i fala złotego Paktolu wstrzymały się, nim nadobre zaczęły płynąć. Zjazdy, kongresy, wystawa, miljon cudzoziemców w Rzymie—wszystko to zbankrutowało doszczętnie".

— Chrystus zwyciężył! — konkluduje radośnie ksiądz J. G., nie rozumiejąc w gruboskórnej swojej zajadłości, że spotwarza swoje Bóstwo, znieważa je i plugawi, każąc mu „zwyciężać"... z pomocą takich środków, przed użyciem których wzdrygnął by się niejeden zatwardziały zbrodzień... Nie do nas należy oczywiście obrona Chrystusa przed tego rodzaju sługą i wyznawcą, który bluźni mu najokropniej pod pozorem wielkiej pobożności: obrona ta należy do rzeszy wierzących katolików, których uczucie religijne winno być chyba boleśnie dotknięte owym przedstawianiem Boga miłości i przebaczenia jako mściwego tyrana, nie przebierającego w środkach, byle tylko dokuczyć tym, co się z pod jego władzy wyłamują.

Jeśli zaś ludzie religijni nie poczuwają się do żadnego w tej sprawie protestu — tym gorzej dla religji.. Bo nieczułe, przytępione i bezwładne uczucie religijne nie obruszy się już i wtedy, kiedy Kościół bojujący o swoje prebendy, w ślad za trzęsieniem ziemi, powodzią i cholerą, uzbroi swego Boga w zarazę morową, wojnę, syfilis, alkoholizm, drożyznę, dynamit, kwas pruski i kule dum-dum. Maluczko, a stanie się religja katolicka największym na kuli ziemskiej monopolem środków zniszczenia tudzież biurem centralnym eksploatacji plag i wszelakich katastrof.

## Etyka religijna.

Wiadomo powszechnie, że my, Polacy, nie grzeszyliśmy nigdy nadmiarem cnót cywilnych, nie posiadając ani chłodnej energii Anglików, ani żwawej pracowitości Francuzów, ani pomysłowości metodycznej Niemców. Nie—tych czysto świeckich zalet nie mamy, choć dominują one nad światem dzisiejszym; natomiast, wespół z Irlandją i Hiszpanją, *upadamy* w znaczeniu dosłownym pod brzemieniem katolickich cnót religijnych, w których nietolerancja pierwsze zajmuje miejsce.

Że wstydem przyznać należy, że w rzeczach etyki duchowej polskość dotąd żadnych samodzielnych nie wytworzyła wartości, tkwiąc po uszy w klerykalnej rzymskiej klauzuli.

I tym się tłómaczy ów arcyciekawy fakt, że Polak przeciętny, nazbyt może łagodny, wyrozumiały i miękki we wszystkich dziedzinach życia realnego, występuje nieraz w roli bezwzględnego brutala tam właśnie, gdzie dziś obowiązuje największe poszanowanie cudzych przekonań t. j. w rzeczach wiary.

W tej dziedzinie Polak przestał być sobą, jest natomiast pokornym i gorliwym służką międzynarodowego trustu kałchasów z siedzibą centralną w Rzymie. Członkowie rzeczonego trustu, który stoi w przededniu bankructwa, w obronie swoich lukratywnych wpływów nie zwykli przebierać w środkach, a zawodowy ich rys charakteru—mściwą zajadłość—ujął genjalny satyryk w tych kilku wierszach:

> Judzą pełni zemsty głodu:
> „Wierzy w inne — więc go zabij!"
> I wszystkie wonie Arabii
> Nie wywietrzą smrodu z wrzodu,
> Jakim każdego narodu
> Jest: ksiądz, szaman, derwisz, rabbi.
>
> (*Nowaczyński*).

Nic też dziwnego, że ze wszystkich pism polskich najniższy poziom etyczny reprezentują pisma klerykalne, pełne zjadliwych fałszów i donosów, podstępnych podszczuwań i trywialnych wymysłów. Księża—publicyści z niezmierną lubością rozwłóczą na ostrzach stalówek żółć swojej mściwej zajadłości wobec kacerzy i niedowiarków, nie ulega zaś wątpliwości najmniejszej, że wytępili by ich co do jednego ogniem i mieczem, gdyby nie przeciwił się temu nowoczesny kodeks karny... Korzystając jednak z każdej okazji, by wyminąć jego paragrafy i obejść ogłoszony niedawno dekret o toleranacji, ojcowie kościoła wywołują krwawe bitwy z marjawitami lat

ubiegłych, ostatnio zaś dokonali w Wilnie nowego aktu „moralności religijnej” bo oto co czytamy w *Kurjerze Wileńskim*: „Przed paru dniami do szpitala Sawicz w Wilnie przyniesiono w stanie bezprzytomnym ciężko poranionego kolportera pism marjawickich Franciszka Webera, lat 50. Po odzyskaniu przytomności Weber opowiedział, że w dniu feralnym wieczorem stał on na ul. Tambowskiej i sprzedawał wydawnictwa marjawickie. Niespodzianie napadło na niego kilku nieznanych mężczyzn i przewróciwszy na ziemię, zaczęli go bić i gnieść kolanami w piersi i brzuch aż do utraty przytomności”.

Należy zauważyć w nawiasie, że ten duch specyficznej moralności, który wieje z każdej litery tej krótkiej opowieści, w braku inowierców harcuje niekiedy po własnym obozie, spore czyniąc spustoszenia. Donoszą nam np., że doroczny odpust w Rokitnie, w powiecie Błońskim, d. 8 września, zakończył się krwawą batalją, w której brało udział 1000 pobożnych pątników. Naliczono 58 rannych, z których kilku poważnie. Bójka trwała kilka godzin, bito się w sposób zwierzęcy na kije, dyszle, kłonice, butelki i noże... Wszystko tuż przed kościołem o kilka kroków od ambony, z której co tydzień zagrzewa się wiernych do czynnej obrony świętej sprawy...

A nasza prasa czujna na wszystkie skandale, o krwawych odpustach w Rokitnie, o trzy mile odległym od Warszawy, nie pisnęła jednego słówka...

## Ksiądz Huebner, apostoł wiary, stróż moralności.

W pierwszym rzędzie inter sują ych okazów klerykalnego światka znalazł się ostatnio ks. profekt Huebner, który w roku zeszłym oznajmił był swoim wychowańcom, że obraz cudowny w Częstochowie złupili żydzi i marjawici, przyczym jednak rewelacje swoje polecił w ścisłej zachować tajemnicy.

Niebawem jednak ks. Huebner, powołany jako świadek w sprawie Ronikiera, wytoczył na widok publiczny objętość swojej postaci i zasób niezwykłej umysłowości.

Ponieważ hr. Ronikier nosił się w młodości z planem „rozbicia banku w Monako”, przeto ks. Huebner bystrym swoim umysłem wysnuł mniemanie, że hrabia należy do szajki niebezpiecznych włamywaczy. Prokurator z trudnością wyjaśnił światłemu kapłanowi, że „rozbić bank” w tym wypadku znaczy poprostu wygrać.

Że zaś ks. Huebner powoływał się w zeznaniach na rozmowę w wagonie z jakimś nieznajomym, przeto wywiązał się w sądzie taki djalog.

„Prokurator: Jak długo ksiądz jechał z nieznajomym?

Ks. Huebner: Trzy kwadranse.

Prokurator: Jego nazwiska ksiądz nie zna?

Ks. Huebner: Nie, nie znam. Był on w moim wieku... czterdzieści, czterdzieści dwa lata.

Adw. Sterling: Czterdzieści dwa lata?

Ks. Huebner: Może... czerdzieści pięć.

Adw. Sterling: Mówi ksiądz czterdzieści pięć lat?

Ks. Huebner (nieco zmieszany): No tak; może więcej.

Adw. Sterling: Więcej!? kolega uniwersytecki Ronikiera?

Ks. Huebner: Był to człowiek bardzo wykształcony; mogę nawet powiedzieć religijny.

Adw. Sterling: Skąd ksiądz o tem wie?

Ks. Huebner: Bo z nim rozmawiałem.

Adw. Sterling: Trzy kwadranse?

Ks. Huebner: Poruszaliśmy różne tematy, mówiliśmy między innemi o sprawach kościelnych... (ks. Huebner wydaje się być rozdrażniony, podnosi głos i jest spocony)... mówiliśmy właśnie i o zabójstwie! I wtedy powiedział ten pan, że znając chęć błyszczenia hr. Ronikiera, nie dziwi się zbrodni... Mówił o niemoralności w szkołach warszawskich t. j. nie mówił o męzkich zakładach naukowych, ale o żeńskich i wyraził się, że tam panuje rozpusta! (ostatnie słowa ks. Huebner nieomal krzyczy).

Adw. Sterling: Jak wyglądał ten pan?

Ks. Huebner: Nie wiem.

Adw. Sterling: Przecież ksiądz z nim rozmawiał trzy kwadranse.

Ks. Huebner (czerwony z gniewu): Nie patrzyłem na niego!

Adw. Sterling: Przez trzy kwadranse?

Ks. Huebner: Tak! Siedziałem nie na przeciwko niego, lecz przy nim!

Obrońcy się uśmiechają.”

Uśmiecha się nieraz i młodzież szkolna na lekcjach światłego katechety, który walczy zwycięsko z całą wiedzą nowoczesną i masońską kulturą zachodu, pełni wysoce odpowiedzialną funkcję apostoła wiary i stróża moralności, a trzech słów powiedzieć nie umie do rzeczy, o czem przekonano się w sali pałacu Paca.

Jeśli Kościół na takich spoczywa filarach, toć nie dziwota, że się jego mury rysują.

## Słomiana Polska.

Sprawą najbardziej dziś „palącą” w całym tego słowa znaczeniu jest sprawa klasycznej strzechy polskiej, będącej istnym rozsadnikiem ognia po wsiach naszych i miasteczkach. Udowodniliśmy niedawno, że słomiane poszycie dachów, niedość iż nadaje krajowi wygląd ubogi i ponury, ale obciąża go jeszcze dotkliwie bądź przez wygórowane składki ubezpieczeń rządowych, bądź przez częste i groźne pożary. W konkluzji wskazaliśmy na konieczność jaknajrychlejszej budowy „Polski murowanej” na miejscu „słomianej Polski” zalecając dostawę dachówek na kredyt z uiszczeniem należności w ciągu szeregu lat w związku z odpowiednią redukcją rat asekuracyjnych...

Niektóre warszawskie dzienniki, oderwawszy się na chwilę od rozważań teatralno-buduarowo-kryminalnych, zajęły się również sprawą „palącą”.

*Kurjer Warszawski* wskazuje na to, że „budowla drewniana przy dzisiejszej drożyźnie drzewa kosztuje drożej niż murowana. Mamy nadto w kraju wyborny materjał budowlany jeszcze tańszy od cegły, mianowicie kamień, zalegający całą południową połać Królestwa. Na północy zaś leżą duże pokłady piasku, stanowiące wyborny materjał do wyrobu cegieł piaskowych, używanych już dość często w budownictwie.

Co się zaś tyczy krycia domów blachą, smołowcem lub dachówką, to na przeszkodzie staje tu brak odpowiednich ułatwień w nabyciu tego materjału. Z tego więc względu — konkluduje współpracownik *Kurjera* — proponowałbym następująco sposoby:

1) Ograniczenie swobody krycia dachów materjałami palnymi do pewnej odległości od innych budowli sąsiednich.

2) Udzielanie pożyczek na kupno pokrycia ogniotrwałego zarówno nowych jak i dawnych budowli z możnością spłaty pożyczki w ciągu szeregu lat.

3) Interwencję Towarzystw ubezpieczeń w wyjednaniu odpowiednich przepisów, regulujących swobodę wyboru materjału do krycia dachów i otworzenia kredytu na ogniotrwałe.

Musi tu być stosowany nawet pewien *przymus*, musi być poniekąd zagwarantowane bezpieczeństwo sąsiadów od sąsiada, ociągającego się z przeprowadzeniem pożądanej zmiany. Ale ten przymus musi iść w parze z pomocą materjalną na koszta tej zmiany.

„Źródło kredytu — kończy autor — znalazło by

się bez trudności w kasach gminnych, a zmniejszenie premjów asekuracyjnych przy dachach ogniotrwałych ułatwiłoby spłatę pożyczek".

Słyszeliśmy, że inicjatywę w tej mierze miało dać *Centr. Tow. Rolnicze.* Czyżby się rozmyśliło?

## Bebel *contra* Marks.

Niemieccy demokraci socjalni sprawili doroczny przegląd swych sił w Jenie, pod komendą starego Bebla, którego wpływ potężny przenika stronnictwo od góry do dołu.

Obrady socjalistów niemieckich śledził świat polityczny ze zdwojoną uwagą ze względu na groźne jeszcze w tej chwili napięcie stosunków międzypaństwowych.

Kongres ustalił przedewszystkiem liczebny wzrost partji i jej świetny stan finansowy, co nie jest bynajmniej niespodzianką. Ale dziwne czynią wrażenie ci przysięgli przewrotowcy z taką dumą i lubością popisujący się swymi miljonami w dochodach i wydatkach, swą wzorową buchalterją, swą zabiegliwą skrzętnością pracowitych i oszczędnych małomieszczan; jakoż w istocie ci rzekomi wrogowie wszelkiego ładu i składu w świecie współczesnym są poprostu skrajną odmianą demokracji mieszczańskiej, do czego czas już chyba przyznać się otwarcie...

Sprawa marokańska w związku z możliwością wojny była ważnym probierzem socjaldemokratycznych nastrojów w Niemczech. I oto wyszło na jaw, że wbrew rytualnym przepisom Marksa na pierwszej karcie *Manifestu*, niemieccy socjaldemokraci są nietylko dobrymi patryjotami, ale nadto zdradzają wcale jurny instynkt zaborczy wespół z p. Kiderlen-Waechterem i kompanją braci Mannesmann. Złoty most zgody rzucił stary Bebel w stronę liberałów i pangermanistów w kapitalnej mowie, potępiwszy pomysł strajku powszechnego przeciw wojnie i stwierdziwszy stanowczo, że Niemcy mają zasadne pretensje do Maroka i praw swych bronić powinny. Organ pangermanistów *Post* chwali gorąco ten charakterystyczny (przed wyborami) zwrot w taktyce skrajnej lewicy, zaś *Berliner Tageblatt*, propagujący od lat kilku bez skutku ideę bloku socjalno-postępowego, nie posiada się tym razem z radości.

I rzeczywiście, faktem jest niezbitym, że *rewizjonizm*, coraz szersze zataczając kręgi, podmył gruntownie dawną ortodoksję i na jej miejsce ustalił nowy prąd polityki realnej, która w rezultacie musi wytrącić socjalną demokrację ze stanu biernej kontemplacji przykazań Engelsa i Marksa, pozwoli jej wziąć bezpośredni udział w życiu politycznym Niemiec i rozwój demokratyczny kraju na nowe pchnie tory.

## R. Luksemburg *contra* Bebel.

Ale to zjawisko, radosne dla postępowców i patrjotów, jest przeraźliwą herezją w oczach prawowiernych sekciarzy-marksistów; gatunek ten, jak wiadomo zachował się w Niemczech i jakkolwiek z dnia na dzień rzadszy, nie mniej nie przestał być hałaśliwym.

W obronie znieważonego Talmudu rewolucji socjalnej stanęła Róża Luksemburg wespół z Klarą Zetkin — rzekłbyś, Roza i Lilla Weneda na opuszczonym wzgórzu derwidowym.

Namiętne i mściwe zarzuty głośnej publicystki, spadły tym razem nie na niewierne głowy Bernsteina, Davida, Vollmara, lecz na otoczone glorją marksowego kultu czoła Kautsky'ego i Bebla. Róża Luksemburg nie miała powodzenia, zaś jaskrawy i gwałtowny ton wystąpień, na którym wzorują się dotąd warszawscy jej akolici, wywołał w zgromadzeniu silny odruch niechęci i niesmaku.

— Oklaski, które powitały słowa towarzysza Bebla — rzekła w pewnej chwili R. Luksemburg — padły z ław Południa, gdzie zasiadają delegaci z Bawarji i Badenji. Towarzyszu, południe cię chwali. Zasłużyłeś sobie na to w zupełności!

— „Pfuj!"—żachnęli się na to Niemcy.—„Wszak to są też nasi bracia! Słyszał kto kiedy podobną bezczelność? Tylko polska żydówka mogła się na nią zdobyć!" [1])

— Polska? To jest bezczelność *luksemburska*! poprawił ktoś, poczym zgromadzenie zgotowało rzęsistą owację Beblowi i przeszło do porządku dziennego nad wybrykiem niepohamowanej damy.

Z całego tego zajścia trojaki można wysnuć wniosek. *Primo*: prawowierny marksizm starej daty zanika nawet w Niemczech, właściwej swojej ojczyźnie. Ostatnimi jego orędownikami są jednostki bez równowagi, bez ojczyzny, bez politycznego zmysłu i bez żadnego oparcia poza oderwaną doktryną.

*Secundo*, rzeczą jest pewną, że schodząc z wyżyn teoretycznej propagandy na płaszczyzny realnych działań politycznych, socjalizm spotkać się tam musi z postępowym, radykalnym skrzydłem demokracji mieszczańskiej i wejść z nią w sojusz taktyczny.

*Tertio* — zwracając społeczeństwu miljonowe masy, ideowo odeń odrywane i systematycznie mu przeciwstawiane — socjalizm nowego typu niewątpliwie wzbogaci życie narodowe i społeczne napływem sił młodych, zdolnych do samozaparcia i poświęceń, duchowo świeżych, a dotąd trzymanych na uwięzi przez niedorzeczny rygor ascezy partyjnej, która wespół z bullami papieży przeklinała duch nowoczesnego postępu.

## P. Pasek i p. Straszewicz.

Współczesna Polska literacka w literaturze narodów odgrywa tę samą bolesną rolę, jaka przypadła Polsce po utracie niepodległości w stosunkach międzynarodowych — rolę Kopciuszka. Gdzieś na czwartym piętrze, lub w nędznej facjatce na bocznej ulicy, mieszka dumny i pierwszorzędny poeta ale biedny, jak mysz kościelna. O jego wielkości wie garść jego przyjaciół — nędzarz, nie mogący się stroić w wytworne szaty, nie jest dobrze widziany w salonach, chociaż są nawet domy, w którychby go przyjęto z zadowoleniem, niestety jednak, nazbyt dobrze pamiętają o „wytwornej całości" wrażenia. Inna sprawa, gdyby poeta miał sławę. Sławnemu człowiekowi wiele się wybacza i dlatego przyjaciele radzą życzliwie: więcej drukuj! Daj światu to, coś w męce przemyślał i stworzył genjalnym umysłem, zejdź z facjatki i zaproponuj, bez uniżenia i bez pochlebstwa, ale zaproponuj sam bogaczowi—wydawcy, rzucenie w świat twoich utworów. Gdy cię już poznają — to sami przyjdą i wyciągną rękę po resztę!

Ale poeta jest dumny i woła: wolę suchy chleb jeść całe życie, niż zaproponować wydawcy druk moich poematów. Wówczas przyjaciele, rozumiejąc szkodliwe egzaltacje, zakładają towarzystwo i za własne pieniądze przystępują do wydawnictwa! Nie myślą o zyskach! Pragną jedynie, aby praca i wielki talent nieznanego poety nie zginął na facjatce w kurzu i zaduchu nieprzewietrzonego mieszkania i żeby prócz kilku przyjaciół i ci obojętni i nie przeczuwający nawet istnienia genjalnego poety — laicy, przekonali się, że i w małym domku na bocznej ulicy, może istnieć wielki duch istotnej poezji.

I co się dzieje! Oto dowiedziawszy się o tym fakcie, przybiega zdyszany człowiek realistycznych przekonań i woła wielkim głosem:

---

[1]) Autentyczne. (por. „Temps" 20-22 września).

— Nie dajcie ani kopiejki! Szkoda pieniędzy na podobne głupstwa! Właśnie przed chwilą zauważyłem dziurę w dachu, którą trzeba załatać!

I robi się zamieszanie. Jedni przekonani o słuszności realisty, wołają razem z nim: „Nie damy ani kopiejki" — inni znów, do których i ja należę, kwestję całą rozumieją w ten sposób.

W Paryżu istnieje komitet francusko-polski. Otóż stowarzyszenie to postanowiło wydawać wybitniejsze utwory naszej literatury po francusku pod ogólnym tytułem: *L'oeuvre litteraire polonaise*—aby w ten sposób zapobiedz dyletanckim przekładom, jak również zaznajomić Francuzów z naszą twórczością literacką. Zdawać by się mogło, że pomysł ten nie powinien znaleźć oponentów, przynajmniej między polskimi literatami. Tymczasem p. Straszewicz w *Kur. Polskim* (Nr. 257) — dosyć gwałtownie zwalcza ten projekt, motywując swoją opozycję tym, że u nas jest za wiele różnych potrzeb, aby nasze społeczeństwo mogło brać pieniężny udział w tej sprawie. Na dowód przytacza 80 proc. analfabetów, którzy wołają rozpaczliwym głosem: nauki — i otrzymują milczenie. Ci nieszczęśni analfabeci są owym straszakiem, którego się w pewnych okolicznościach wyprowadza na widownię jako niezwalczony argument.

Cóż bowiem pilniejszego być może od niesienia oświaty pragnącym? jakaż społeczna sprawa ma pierwszeństwo przed szkołą ludową i ludową oświatą? Doprawdy, żadna! Tylko, że p. Straszewicz w pośpiechu zapomniał wziąć z domu adresu i zamiast do rady ministrów rosyjskich, zgłosił się ze swymi pretensjami do towarzystwa polsko-francuskich przyjaciół. P. Straszewicz chyba już wie, że gdyby polska oświata zależała od polskiego narodu, nie byłoby 80 proc. analfabetów. Mogłaby coś o tym powiedzieć Macierz — i dlatego przyzwoiciej zwrócić się z zarzutami tego rodzaju do tych, co zamykają, niż do tych, którzy są zamknięci! Nie przeczę jednak, że prócz analfabetyzmu istnieją u nas inne dolegliwości również, nie stety jednak, wszystkie wymagają wielkiego nakładu finansowego i ci, którzy na ręce p. Józefa Wolffa złożą swój udział 100 frankowy — mogliby nie dać na cel inny. Niema żadnej gwarancji, czy w razie niedojścia do skutku projektu wydawniczego — jakakolwiek inna instytucja na tym zyska choćby kopiejkę! Ludzie dają wtedy, gdy mają ochotę i na to, na co mają ochotę dać. Nikt nie przeznacza określonej sumy na dobroczynność, od wielu okoliczności zależy zdobycie kilkuset rubli na ten, lub inny cel, dlatego argumentowanie „innymi poważniejszymi sprawami" niema racji bytu, gdyż takie same prawo do poparcia bliźnich ma student, chory na gruźlicę jak i murarz z połamanymi nogami a przecież jedni składają ofiary dla studenta a drudzy dla murarza!...

Pan Straszewicz jednak, jak ów poeta z facjatki, mówi niewiadomo dlaczego: wolę jeść suchy chleb, niż zaproponować wydawcy kupno moich poezji! Nie dajmy ani kopiejki, bo niema sensu wspomagać bogatą literaturę francuską! P. Straszewicz prawdopodobnie wyobraża sobie, że komitet, przetłumaczywszy książkę polską, będzie ją darmo rozsyłał po domach, lub kucharkom z ukłonem wkładał do koszyka. Pół Europy czyta francuskie książki i rok rocznie setki się tłumaczy z obcych języków, dlaczego więc niema się tłumaczyć z polskiego?... Czyż istotnie mamy czekać, jak p. Straszewicz radzi, aż nas Europa znajdzie? To będziemy czekali dosyć długo, bo Europa nie znajdzie prędko narodu, który niema pancerników ani armat, ani dyplomatów, ani konsulów przy dworach, lecz jest jak ów wielki poeta, mieszkający na facjatce, o którym wie tylko garść jego znajomych! Pomysł założenia towarzystwa wydawniczo-przekładowego jest doskonały i zasługuje na gorące poparcie. Jedynie rozpoczęcie *Panem Paskiem* uważać można za chybione. Pamiętniki dosyć zwykłego szlachcica z XVII w. nie są niczym osobliwym dla cudzoziemców, którzy są i będą zawsze dalecy od tak specyficznie narodowych utworów, tylko dzieła, posiadające pierwiastek wszechludzki, zrozumiały dla wszystkich — mają największe szanse powodzenia — i właśnie od tych, dających pojęcie o *współczesnej* literaturze polskiej, komitet powinien zacząć swoją działalność. Wprawdzie p. Straszewicz mówi, że to nie wypada się narzucać, ale to już tak jest na świecie, że kto pragnie swój towar sprzedać — ten musi pomyśleć o kupcu, lub pośredniku. *L'oeuvre litteraire polonaise* będzie tym pośrednikiem. Dzięki tej instytucji polscy autorzy mogą zająć to stanowisko, które im się słusznie należy — i wywalczyć sobie wśród szowinistycznych Francuzów prawo egzystencji.

Nie wiem, co na to powie p. Straszewicz, ale mnie się zdaje, że nikt nie powinien się wstydzić własnej przedsiębiorczości. Nie idziemy Francuzów wspomagać, pójdziemy ewentualnie sprzedać swoją wytwórczość i przekonać, że i na facjatce mogą powstawać dzieła wielkich idei i wielkich talentów!

*St. K.*

---

# Z PRASY.

## Z prasy polskiej.

* *Po zamachu.* Z właściwą naszej prasie krańcowością przerzucono się nagle z nastroju wygórowanych nadziei, związanych ze śmiercią Stołypina, w nastrój zbytniego może pesymizmu, do czego przyczyniła się urzędowa notatka *Rossii* tej treści: „Idea polityki Stołypina, organicznie związana z życiem państwa rosyjskiego i z wypływającymi z niego potrzebami, nie może zamrzeć ze śmiercią jej twórcy. Po pomyślnie odpartych próbach obcoplemieńców rozerwania rosyjskiej jedności państwowej idea centralizacji państwowej nie może być unicestwiona".

*Kurjer Poranny* zwraca uwagę na reformacyjną działalność nowego premiera na urzędzie b. szefa zarządu więzień przed 30 laty.

> W ostatnich czasach więzienia rosyjskie dostępne są dla najszerszych kół publiczności, nic więc łatwiejszego jak sprawdzić własnym eksperymentowaniem wartość tych reform. Swoją drogą doświadczenia nabyte na urzędzie szefa zarządu więzień mogą być istotnie doskonałym przygotowaniem do tego stanowiska, jakie obecnie zajął Włodzimierz Nikołajewicz...

Nakreśliwszy w kilku zasadniczych rzutach portret Kokowcewa — biurokraty, publicysta *Kurjera Porannego* kończy w te słowa:

> Pan Kokowcew razem z pp. Stołypinem i Szczegłowitowem tworzyli nierozdzielną trójcę od lat sześciu. Polityka rządowa była ich wspólnym dziełem. Pomysły były kolegjalne. Czynom tylko nadawał Piotr Arkadjewicz indywidualne piętno ostrej szorstkowości. Działalność p. Kokowcowa będzie przez czas jakiś niewątpliwie delikatniejsza w formie. Wszelkie nadzieje zejścia rządu ze ścieżek nacjonalizmu prędzej czy później okażą się najzupełniej płonne Polityka P. A. Stołypina nie ulegnie żadnej zmianie — temu zapewnieniu „Rossii" najzupełniej można wierzyć.

*Kurjer Warszawski* widzi przyszłość w niewesołym świetle:

> Nowy premjer będzie szedł po drodze swego poprzednika. I stosunek jego do ciał przedstawicielskich nie ulegnie zmianie, ponieważ one zapuściły głębokie korzenie w świadomości narodowej, a także ponieważ one dopoma-

gaja do walki z rewolucją. W programie powyższym nie widzimy, oczywiście, nic nowego, coby mogło uchodzić za osobisty nabytek p. Kokowcowa.

*Gazeta Warszawska* przestrzega przed zbytniemi nadziejami:

Wobec tego, że p. Kokowcow został premjerem a nie objął teki spraw wewnętrznych — do czego nieza wodnie dążył — sytuacja pozostaje niewyraźna, nie rychło może się wyjaśni.

Od dłuższego czasu było wiadomo, że p. Kokowcow jest przeciwnikiem Stołypina w Radzie ministrów. Stąd opinja publiczna u nas może trochę skłonna jest do szukania w nim przedstawiciela kierunku politycznego, będącego zaprzeczeniem kierunku Stołypina. Stąd niektórzy może sobie obiecują wielkie zmiany w systemie rządzenia. Ci, którzy tak myślą, doznają napewno zawodu.

*Goniec* piórem p. T. G. stawia takie horoskopy:

Mało jest prawdopodobne, iżby Kokowcow żywił wielką ambicję i pragnął odegrać rolę, równorzędną do roli swych poprzedników — hr. Wittego i Stołypina. Ani zasób złożonej w jego ręce władzy, ani jego indywidualność, ani moment polityczny nie popychają go w tym kierunku. Został u władzy gabinet Stołypina bez Stołypina. Jest to stan rzeczy, mający wszelkie cechy tymczasowości. Niepodobna odgadnąć, co się z niego wyłoni.

W *Nowej Gazecie* nastrój jest bardziej pogodny:

Nowy prezes ministrów, piastując tekę fachową, nie odtwarzał specjalnego systemu politycznego, to jednak było wiadomem, że jest zarazem przeciwnikiem kursu nacjonalistycznego i całego szeregu projektów rządowych, które oparte były na tych dążeniach.

W. M. Kokowcow posiada zaufanie nawet wśród opozycji dumskiej. Ma opinję człowieka bardzo rozumnego, zrównoważonego i doświadczonego. Nadto jest dobrym mówcą.

Ze szpalt *Słowa* świeci pewien optymizm. Pełen otuchy, organ realistów poucza:

Nie trzeba zapominać, ze Kokowcow na poprzednim swoim stanowisku niejednokrotnie występował w Radzie ministrów przeciw niektórym poglądom Stołypina, oraz ze kandydaturę Kokowcowa na prezesa Rady ministrów zwalczali usilnie nacjonaliści, — wobec czego nasuwa się przypuszczenie, że nowy prezes Rady ministrów inaczej niż jego poprzednik, pracować będzie około „ochrony praw narodu rosyjskiego“.

Nie darmo mawiali Rzymianie: „si duo faciunt idem non est idem“.

# KRONIKA.

ZJAZD LIGI POMOCY PRZEMYSŁOWEJ. Odbył się we Lwowie w dniu 8—10 września przy licznym udziale delegatów. Sprawozdanie przedłożone zjazdowi obejmuje półtoraroczny okres czasu i wskazuje na nieustanny rozwój tej instytucji, czego dowodem miał być uroczysty akt otwarcia nowego gmachu.

Działalnością Ligi objęty jest cały kraj: we wszystkich miastach i miasteczkach, a nawet i po wsiach, (ustawa Zjazdu tworząca sekcję rolniczą, zapewne i tu ruch powiększy), istnieje 316 oddziałów w postaci kół miejscowych z niedawno założoną centralną filją dla Galicji Zachodniej w Krakowie, z ogólną liczbą dochodzącą prawie 15,000 członków.

Na trzy działy podzielić można pracę Ligi: pierwszy to naukowy — oddzielnie dla młodzieży, a dalej instytucje, jak seminarjum dla przemysłu domowego, które odbyło 4 kursa zawodowe, zamierzony w myśl uchwał Zjazdu Uniwersytet przemysłowy i t. p.

Drugą część działalności stanowi założenie spółki maszynowej (liczącej 116 członków z kapitałem ok. 48,000 k., a obracającej dotąd 318,500 k.) i 9 spółek fakturowych w kraju, utworzenie w dziale handlowym muzeum i biura wywozowego we Lwowie, wreszcie wydanie skorowidza przemysłowego dla Galicji, który się rozszedł w 13,000 egzemplarzy.

Część agitacyjna obejmuje wystawy, jarmarki, odczyty w całym kraju. Ogromnym powodzeniem cieszyły się wystawy ruchome w liczbie 109, zwiedzone przez 170,000 osób.

Poruszono podczas obrad, które odbywały się bardzo pracowicie, a która przez ożywioną dysknsję wskazywały na wielkie zainteresowanie i aktualność Ligi, wiele spraw, których załatwienie podjąć może budzący się coraz bardziej przemysł. Z kwestji i wniosków uchwalonych wspomnieć trzeba o dążeniach poparcia rozwoju przemysłu domowego po wsiach, wnioski o utworzenie spółek rękodzielniczych, ich kredytu, cały szereg uchwał w sprawie rękodzielników, wydanie poradnika, założenie czytelni zawodowych i t. d. Ważnym momentem są wnioski w sprawie budowy kanałów, oraz zajęcie się agitacją po całym kraju dla tym żywszego zadokumentowania opinji publicznej.

Zjazd wykazał postęp Galicji w rozwoju przemysłowym i z razem przekonał o konieczności tego rodzaju instytucji, któraby zająć się mogła najpierwszymi podstawami wiedzy ekonomicznej. O ile Liga pomocy przemysłowej pójdzie dalej tą samą drogą, będzie mogła zapisać się chlubnie na kartkach dziejów życia ekonomicznego Galicji.

HENRYK HOUSSAYE. Henryk Houssaye, historyk i krytyk, członek paryskiej Akademji zmarł w Paryżu, w 73 roku życia. Syn krytyka i powieściopisarza, Arsena Houssaye, rozpoczął pracę naukową w r. 1866 wydaniem „Histoire d'Apellès“. W wojnie francusko-niemieckiej w r. 1870 brał udział: odznaczył się w bitwie pod Champigny i otrzymał odznakę legji honorowej. Później uczestniczył w redakcjach pim: „Journal des Débats“ i „Revue des Deux Mondes“. W r. 1874 otrzymał za dzieło p. t. „Histoire d'Alcibiade et de la république athénienne“ nagrodę Akademji. Z dzieł zmarłego zasługują na wyszczególnienie: „Le premier siège de Paris“. „Athénnes“, „Rome et Paris“. „L'art français depuix dix ans“. ...Histoire de la campagne de France et la chute de l'Empire“ i inne.

EGZEKUCJA. D. 24 września z wyroku sądu wojennego w Kijowie stracony został Bogrow, zabójca P. Stołypina.

KATASTROFA. W porcie tulońskim wskutek pożaru wyleciał w powietrze pancernik francuski *Liberté*, objętości 15,000 tonn. 400 ludzi zginęło. Francja w żałobie.

# Książki nadesłane do Redakcji:

**Angiolini**: „Dzieje socjalizmu we Włoszech“. Skład gł. G. Centnerszwer i S-ka. Warszawa.

**Zalewski**: „O materjal. pojm. dziejów.“ Skład gł. G. Centnerszwer i S-ka. Warszawa.

**Heilpern**: „Co człowiek zdoła.“ Skład gł. G. Centnerszwer i S-ka. Warszawa.

**Hauzner**: „Odrodzenie Galicji.“ Skład gł. G. Centnerszwer i Sk-a. Warszawa.

**Moja Książeczka** Nauka czytania i pisania ułożona przez grono Nauczycieli szkoły początkowej. Skład główny: Centnerszwer i S-ka w Warszawie.

**Przewodnik po Krakowie i Lwowie**, wyszedł nakładem Krajowego Związku Turystycznego w Krakowie. Cena 25 kop. skład Główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

**Prenumerata „Prawdy"** wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

**Administracja otwarta codziennie**, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.



TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Fałszywa Glorja. — ODCINEK: Fatalne Miłosierdzie, przez Stefana Kiedrzyńskiego. — Z zagadnień współczesnej polityki marksizmu, przez St. Romanowskiego. (Ciąg dalszy) — Listy z Galicji, przez Ludwika Kulczyckiego. — Filozofja mody. przez Karola Irzykowskiego. (Dokończenie). — BADANIA NAUKOWE: Henryk Poincaré, przez W. Rzymowskiego. (Ciąg dalszy). — KRYTYKA: Kościół i religja w pojęciu Słowackiego, przez Władysławę Weychert-Szymanowską. — NA DOBIE: Szczyt niedorzeczności. — Galicja konfiskuje. . — Eksploatacja cholery. — Etyka religijna. — Ksiądz Huebner, apostoł wiary, stróż moralności. — Słomiana Polska. — Bebel contra Marks. R. Luksemburg contra Bebel. — P. Pasek i p. Straszewicz. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — KRONIKA. Książki nadesłane do Redakcji. — OGŁOSZENIA.



Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.